



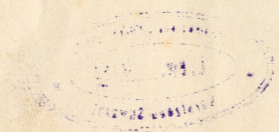


GL

Termin zwrotu książki:

--	--	--

Karta terminów zwrotów.



85

PIOTR JAKSA BYKOWSKI

GLINKOWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW KONFEDERACJI TARGOWICKIEJ



WARSZAWA

Księgarnia E. WENDE i S-ki

(Ludwika Fiszera).

28.703



G.2.

821.162.1-3





I

Starożytny jest dom Glinków wiskich, a mnogimi rycerskimi czynami wstawiony; dośoby powiedzieć, iż wielu z nich zasłało swemi walecznemi ciałami pola Grunwaldu i Działdowa. Co do zamożności tego rodu, to króm tego, iż oddawien dawna posiadali liczne zamki, grody i sioła, ale nawet cały powiat wiski, który (jak twierdzi Bielski) wykupiła od nich księżna Anna mazowiecka za sumę 20 tysięcy złotych — do nich należał.

Wszelako nietylę nam tu idzie o prozapię rodu, której świadectwa snadno w starych kronikach odszukać, lecz właśnie zaznajamiamy się z nim w upadku, kiedy za ostatnich czasów Rzeczypospolitej już podupadł i znuędzniał, a resztki jego już się przyczaiły w rodzinnej wsi Glińsku, którą przodek ich, Mikołaj Glinka, kasztelan wiski, a sławny wojownik za czasów króla Batorego, założył na ziemi, własnem męstwem zdobytej. Krom tego tenże Mikołaj posiadał 56 wsi i 7 miast... A dziś ta nieubłagana *fortuna variabilis*, tłocząc potomków jego przez dwa wieki, rozrobiła ich do tyła, iż ile niegdyś miał wsi przodek, tylu teraz, a może i więcej

potomków na mizernych się resztkach rozsiadło i z dawnej potęgi zeszło do smutnego upadku, dla którego nowsza nomenklatura fatalizmu wynalazła pogardliwe miano „drobnej szlachty“.

Glińsk, jak się to działo z podobnemi wsiami szlacheckimi, był zamieszkaný przeważnie przez jedną rodzinę Glinków, za wyjątkiem niektórych innych rodów, które tytułem wiana za Glinczankami części ziemi pobrały, lub jurystów, którzy korzystając z ciemnoty dziedziców, wdarli się na ich mędrone działy przez procesa, zastawy i t. p. pieniactwa.

Ciekawą zaprawdę jest charakterystyka tych wsi rodowych, czyli pospolicie u nas „szlachetczyznami“ zwanych, które zanim zupełnie wyszły z rąk dawnych dziedziców, drobiąc się na niedostrzegalne prawie atomy, jeszcze w pierwszej połowie niniejszego stulecia zachowały dawną oryginalną cechę. Doprawdy to rozdrabianie dziedzictw, przez rozrządzanie się i utratę mienia, dochodziło już do takich ułamków, że niejednenby matematyk głowy nad nimi nałamał. Bywało kilku lub i kilkunastu dziedziców na jednego chłopca i (co nieodzowna) karczmy. Bo jakże bez karczmy i Żyda dziedzictwo obejść się mogło? Co prawda, często sam dziedzic lub dziedziczka najmowała się do Żyda na służbę, ale nigdy do owej karczmy, bo to urłaszczałoby godności, jeno do sąsiedniej.

Smutny zaprawdę był stan poniżenia i ciemnoty w tych ludziach. Ale cóż zaprawdę mieli począć, pozostając pod despotyzmem przesądów? Łokieć,

miarką i wszelki proceder mieszczański, pod utratą szlachectwa, były niedostępne; nauka dała się zdobyć zaledwie jakiemuś setnemu szczęśliwcowi i jeżeli który dowcipniejszy dostał się do palestry, to była już wielka karyera, iż tam nędznie przeżył łaską prawujących się. Jedyne szczęście była wojna, bo tam mógł przeżyć, a czasem i obłowić się. Ale gdy czasy dłuższego pokoju nastąpiły, całe pokolenia po wsiach gnuśniały.

Atoli zawsze byli to dziedzice. Bo czy jeden szlachcic o dziesięciu chłopach, albo dziesięciu szlachty o jednym chłopie, zawsze to *natus possessionatus* i kwita! Chociaż nie przewyższali chłopów ani rozumem, ani wychowaniem, jednak, ucząc ich tak zwanego *moresu*, oddawali chłopom w bucie i pysze to, co sami przynosili od magnatów. Różnili się od chłopstwa tylko powierzchownymi znakami: najprzód odmiennym krojem kapoty, chociaż z tego samego siermiężnego sukna, kołnierzem przy koszuli, czapką rogatywką, a najbardziej szabelką, przyczepianą w dni świąteczne do kościoła; niewiasty czepcem świątecznym ze szlarką, lub w dniu powszednie nawiązaniem chustki na głowie. Także wyróżniały się ich mieszkania ganeczkiem o dwóch słupkach i okutymi oknami; tych zaś dwóch atrybucyi chłop nie śmiał sobie przyswoić, jakby nadanej mocą szczególnego przywileju; lubo często się wydawało, iż chłopskie pomieszkание było porządniejszem od szlacheckiego. Jeżeli szlachcic robił w polu, tym go odróżniłeś od chłopca, iż na miedzy szablę za-

tykał. Te jedne były dyferencye, bo chętnie z chłopami się bratali, upijali i tańcowali w karczmach.

Nie jeden nawet biedak szlachcic dla sytuacji ożenił się z bogatą chłopką, a choć na to panowie bracia kręcili nosem, lecz to się jeszcze tolerowało na zasadzie, iż indygenat szlachecki pokrywał niższość stanu i urodzenia. Atoli żeby szlachcianka miała poślubić chłopą, tego by za nic nie dopuścili.

Ab uno disce omnes — i Glińsk był taki sam, jak inne szlacheckie wioski, a mieścił w sobie kilkanaście odrębnych rodzin Glińskich, chociaż jednego szczepu, ale już sobie nie pokrewnych, które dla odznaczenia przybierały czasem rozmaite imioniska jako to: Wizkowie, Strzyżowie, Ciemierzyńscy, Pokutyńscy, Rożańscy, Orlikowscy i t. d. Trudno dziś dociekać, o ileby się dały historycznie usprawiedliwić te przezwiska, ale to pewno, że się praktykowały po wsiach szlacheckich i zyskały prawo obywatelstwa, bo nierzadko w dokumentach urzędowych napotykać je można. Każda znów rodzina, przez ustną tradycję zachowując dawny tytuł jednego z przodków, przyswajała go sobie; szczególnie ten rodzaj pychy trzymał się niewiast, które się chętniej tytułowały i nieraz mogłeś posłyszeć podobną między niemi rozmowę przy spotkaniu:

— A skąd to wojewodzina wraca?

— Wypędzałam krowę na paszę; a kasztelanowa skąd?

— Biełam Szmulowi karczmę.

II

Z tego to butnego, bezmyślnego motłochu, wyróżniał się, jako splendor gasnącego rodu, imćpan Michał Glinka, z przydomku Janczewski, porucznik petyhorski, a niegdy konfederat barski. Już to dla osobistych zalet, już to dla majątku, gdyż w pośród tej hołoty był krezusem, siedząc na stu chłopach; do tego miał dworek na podmurowaniu o kilku izbach z zielonemi okienicami, aż z dwoma gankami i to o czterech nie o dwu słupach; obszerny dziedziniec, ogrodzony porządnym częstokołem i nakoniec bramę kutą o dwu wrzeciędzach. To wszystko „według stawu grobla“ równało się w Glińsku królewskiemu zamkowi. To jeszcze grzech niewielki, ale były i śmiertelne: porucznik bowiem posiadał żółty koczo-bryk o dwóch resorach, a do niego w gościnę zajeżdżali panowie, i to *orderowi*, kolasami. Za te przewinienia od spółobywateli wioski otrzymał pogardliwe miano „arystokrat“, co wszakże nie przeszkadzało, iż piastował urząd *seniora*, bez którego wieś szlachecka obyć się nie mogła. Senior godził spory, przeprowadzał działy spadków, a był niejako władzą

najwyższą, sądową i administracyjną. Poprawiał i karmił zdrożności i nadużycia, nierzadko *remotis arbitris* na kobiercu, a pomimo pokątnych sarkań, doznawał powszechnego posłuchu i respektu od panów braci. Urząd to nie był elekcyjny, nikt doń nie zapraszał i nie głosował, ale... jak to siła zazwyczaj niemoc za łeb ima, tak się i po tych wioskach szlacheckich działo. Prawda, że z drugiej strony taki *senior* dopomagał zdrową radą, często braterską opieką i uczynnością w razie przygody i dobrze z nim było panom braciom, którzy, nie trzymani silną prawicą, Bóg wie jakby daleko zaszli w głupocie.

Poznajmy się bliżej z panem Michałem, który nawłóczywszy się do syta po świecie i nabiwszy co się wlaźło, wstępując już w piąty krzyżyk wieku swojego, a zamyślając o należnym sobie wczasie i wytchnieniu, osiadł na szczupłej ojcowiznie i pojął stateczną pannę w małżeństwo. Bóg mu zaś pobłogosławił, a trzykrotnie, po trzech bowiem latach szczęśliwego pożycia, małżonka potrzykroć go obdarzyła trzema parami bliźniątek i to płci żeńskiej. Pan Michał, jak to zwykle ojciec, a do tego wojak, każdym razem wzdychał do syna, atoli zawsze się pocieszył przysłowiem, zastosowanym do jego chrzestnego imienia: „bierz Michale coć Bóg daje“.

Za trzecim wszakże razem Bóg, krom radości, zesłał mu ciężki smutek, albowiem z powitaniem trzeciej pary bliźniątek, pożegnał nazawsze towarzyszkę życia i sam z sześciorgiem sierrotek pozostał. Rad nie rad i to musiał przyjąć z rezygnacją, bo

hartownej duszy był czlekiem. A kiedy mu tam kumoszki i przyjaciele odwiecznym trybem doradzali:

— Panie Michale, musisz ponowić związki małżeńskie, gdyż mi dasz sobie rady z sześciorgiem drobiazgu.

Pan Michał ruszał tylko ramionami i zawsze z góry odpalantował doradcę:

— A czy to waszeć Pan Bóg, abyś mi zaręczył, że z czasem nie będę oplakiwał drugiej małżonki, a z nią nie napytam nowych sześciorga sierot? Łatwiej tedy z sześcioma poradzić, niż z dwunastoma.

— Gdybyż to jeszcze chłopcy, ale czyli potrafisz córki wychować?

— Ba!... jeżeli nie potrafię po białogłowsku, to je wychowam po chłopięcemu, ale zawsze ślubów nie ponowię! — konkludował ostatecznie porucznik.

Jakoś Bóg nie opuścił strapionego wdowca, bo kiedy zrazu sierotki pozostawały na opiece starej, poczciwej piastunki Marty, złożył się dla nich najniespodzianie przyszły areopag wychowawczy, a to w ten sposób. Porucznik miał siostrę o parę lat starszą od siebie i kiedy jeszcze w *collegium* winnickiem O.O. Jezuitów mozolił się nad alwarem, dziewczeczka, protekcyonalnemi drogami, dostała się na sławny z zamożności i wspaniały dwór księżny wojewodziny Lubomirskiej. Że Bóg jej dał piękną urodę, a dystynkcyi i światowych manierów łatwo nabrała na wspaniałym pańskim dworze, za protekcyą państwa, o rękę posunął się chorąży mścisławski, chociaż przeszło dwa razy starszy od panny, ale mający

czem ozłocić siwiznę, przypadłości reumatyzmu i podagry. Właśnie przed dwudziestoma z okładem latty, kiedy pan porucznik uwijał się z szabelką to pod panem Zarębą, to pod Pułaskim, piękna siostra ślubowała chorążemu i z nim zamieszkała jego liczne dobra mściśławskie. Jako to jest zwykła kolej starych małżonków ulegać ślepo młodym żonom, chorąży nie stanowił wyjątku z pod ogólnego prawa. Żoneczka przywykła na wielkim dworze do zbytku, roztoczyła go na fortunie mężowskiej, która w końcu nie wytrzymała marnotrawnych pocisków chorążyny.

Dla skrócenia długiej historii, zawrzemy ją w krótkich słowach. Po ówieni wieku szczęśliwego pożycia, chorąży z rozkosznych objęć żony przeszedł na zimne śmierci łono. Fortunę zaś, pozabawioną sprzęzystych wykrętów męskiej ręki, rozszarpali wierzydiele, a skutkiem tego, skromni mieszkańcy cichego Glińska podziwiali złoconą baszardę *), która, ciągniona sześciorgiem chłopskich chabetów, wtoczyła się na podwórko porucznika. Za baszardą postępowało kilka jeszcze wozów, a na nich sprzęty i narzędzia nieznanne glińczanom, jako to klawikord, harfa i t. p. Nim to się wszystko wypakowa-

*) „Baszarda“ był to rodzaj karety zeszlowiecznej, którą zwykle zdobiły nazewnątrz rozmaite figury i sceny mitologiczne z brązu złoconego. Wewnątrz zaś posiadała mnóstwo dogódności, stołów, komód, kufrów, kredensów i t. p. Taką baszardę kosztowną, a dobrze zachowaną, można było oglądać do niedawna w pałacu tulczyńskim Potockich.

ło i przeniosło, dworek cichy był przepelniony, jakby dziś teatr przy pierwszym przedstawieniu.

Był to wjazd tryumfalny chorążyny do brata porucznika, z którym, można powiedzieć, że się nie znała, bo kiedy on wysiadywał szkolną ławę, a następnie obozował z konfederatami, ona panowała samowładnie w dobrach mężowskich. Może i zamysłali o zbliżeniu się z czasem, ale gdzie to Mściwskie, a gdzie Braclawskie?... Ruch zaś dawniejszy i komunikacye nie były tem, czem są dzisiaj.

Pomimo tego przydłuższego oddalenia, porucznik, że to, obyczajem dawnych, miał wiele serca do własnej krwi, a związki rodzinne wielce sobie cenił, tej siostrze „marnotrawnej“ szeroko rozwinął ramiona braterskie. Przytem rad był, iż jego sierotkom przybywała czujność i opieka białogłowska. Pani chorążynie, lubo może niebardzo uśmiechał się skromny dworek szlachecki po mściwskich pałacach, ale że tych zbrakło, a braterska strzecha była jedyną ucieczką, więc pomyślała, że... „na bezrybiu i rak ryba“.

Inna opatrność nad sierotami zjawiała się wręcz w przeciwnym trybie. Wsie szacheckie starały się zazwyczaj mieć u siebie Dom Boży: bywał tam zazwyczaj kościółek wedle ich staniku, ubogi, często i słomą kryty, ale zawsze chwała Boża tam się szerzyła. Prawda, że księża zazwyczaj uciekali od podobnych prebend i każdy obsługiwane tak ubogiej parafii poczytywał za niełasę lub karę.

Tak też się stało, że po śmierci porucznikowej, dawny proboszcz z przyjemnością przechodził na donioślejszą parafię, o jego zaś chudy wakans starań i zabiegów nie było.

Porucznik zaś miał stryjecznego brata w Zakonie Dominikańskim, który lat czterdzieści braci zakonnej wysłużył, a z tych dziewięć w godności prowincyała. Reguła zakonna nadawała mu już prawa emeryta, t. j. zwalniała go z wielu obostrzeń i dozwalała spełniać obowiązki kapłańskie po za klasztorem. Mógł już z czystem sumieniem przyjąć tę ulgę O. Honorat, tembardziej, iż na usługach zakonnych zdrowie utracił, a maceracye i umartwienia klasztorne już mu były uciążliwe, wszelako czynił sobie z tego pobożną restrykcyę, aby reguły do końca nie zwalniać.

— Chętniebym tam poszedł do waszego kościołka i nacieszył się twoją kompanią, miły bracie i wiem, że łaskawa starszyzna zakonna nie broniłaby mi tego wytchnienia, którem sobie wysłużył, ale zakonnik to jak żołnierz pod chorągwnią, niepowinien jej opuszczać do końca — mawiał O. Honorat, odpierając kuszenia i nalegania brata porucznika.

Lecz ten, powziąwszy zamiar osadzenia brata w bliskości, zakrzętnął się około tego gorliwie. Jako jeden z głównych fundatorów kościołka, posiadając prawo prezenty na parafię, nie udzielił go innemu duchownemu, a u prowincyała zakonu wyrobił, iż ten O. Honoratowi, w imię obedyencyi zakonnej, rozkazał parafię przyjąć. Nie gniewał się O. Honorat za

ten gwałt prowincyański, bo w rzeczy samej pragnął użyć dobrze wysłużonego wczasu.

Zdobywszy tę komisję edukacyjną dla córek, porucznik w rozumieniu swoim podzielił wychowanie bliźniątek na trzy kategorye: każda para do lat siedmiu chowała się pod nieograniczonym rządem ciotki chorążyny, w sukniach niewieścich; po dojściu zaś tego wieku, przeodziana w strój chłopięcy, przechodziła pod władzę ojca i księdza - stryja: pierwszy kształcił w męskich ćwiczeniach ciała, stosownych do sił i wieku, w początkowym eksercyrumku wojennym, strzelaniu z małych ruszniczek, oswajał powoli z łowami, słowem poczynął sobie, jak z chłopcami dzieć się zwykło.

O. Honorat, iż długi czas, między innemi funkcjami, pełnił i lektorską w zakonie, a kilka pokoleń mszalnych zakonników wydoskonalił, wierzył w łacinę, jako klucz wszelakiej scyencyi i dziewczęta odrazu do niej zaprzął. Oburzała się i gorszyła ciotka chorążyna na to i nieraz księdzu bratu czyniła stosowne remonstracye, ale on, niewzruszony w postanowieniu, odpierał:

— Czytaj, mościa sestro, historyę, a z niej się dowiesz, ile cnotliwych było Rzymianek — a jakim że one językiem mówiły?

Nie mogąc poradzić z księdzem, uderzała chorążyna na porucznika:

— Co to z waści, bracie, za ojciec, że własnym dzieciom los zagradzasz...

— A to w jaki sposób? — przerywał sarkastycznie porucznik.

— A juźci, czynisz z córek jakieś dziwolągi, bo azaliż to białogłowska rzecz szastać się z ruszniczką w kniei lub z chartami wierzchowo gonić i to wszystko, Boże odpuść, w chłopięcych sukniach? Do tego gadają po łacinie, jak juryści lub doktorowie. Tym trybem pewno sobie mężów nie znajdują.

— Jeżeli nie znajdują pani siostró, to się obejda.

— A na rany Boskie, co też brat wypowiadasz takie bluźnierstwa, do tego ojcowskiemi usty... A któraż to kobieta obejdzie się bez męża?

— To nie ja bluźnię, a siostrunia, boć przecież wszystko w ręku Wszechmocnego, a zresztą i przysłowie mówi iż: „śmierć i żona od Boga przeznaczona“, to czy z konia, czy z kniei, tak ją weźmie predestynowany, jak i ciebie z pańskich salonów.

— Zapewne przy tych manierach kozackich, jakich nabrały przy łowach — przerwała z przekąsem chorążyna.

— Co mi aśćka prawisz o manierach! A pięknieś je wymanierowała... Kiedym wziął pod swoją opiekę pierwszą parę z pod twej babskiej musztry, wyglądała, jak trzy dni przed śmiercią; a teraz spojrzij: dziewczęta, jak łanie, zdrowe, wesołe, rumiane, a to wszystko łowy i świeże powietrze. Obaczysz, że nie było jeszcze takich dorodnych Glinczanek, jak moje dziewczki; albowiem w naszym rodzie niewiasty drobne i nikłe, jak uczciwszy, pani siostra...

— Ale za to skromne, pobożne — przerwała chorążyna złośliwie.

— A co tego to już nie gadaj, a spytaj księdza brata, czy poszły kiedy na łowy, nie odmówiwszy z nim Jutrzni, i to całej, dominikańskiej.

Tak zwykle kończyły się dysputy ku umartwieniu chorążyny, a tem większemu, iż dziewczątka polubiły stan ten swój przejściowy, przekładały łowy nad ciągle krygi chorążyny i naukę tańca, przepłatana nieustannem gderaniem i obserwacją pięknych manierów. Wolały dziewczuchy wylatać się w lesie na świeżem powietrzu, lub słuchać księdza stryja, który im i wyśmiać się, i pofiglować po nauce pozwolił, a jeszcze i sam dopomógł, a zawsze miał jakiś przysmaczek w zapasie, jako nagrodę pilności w naukach. Pomimo to, nie ostały się i chorążynie, która, jeżeli chwyciła chwile wolne od łowów i łaciny, wprzęgała bliźniętka do muzyki lub tańca, jako biegła w tych kunsztach. Wyczekiwała tylko starszuszka z upragnieniem, a każda para dziewczątek z trwogą lat 15 wieku, który naznaczony był przez ojca jako termin nowego przejścia i ostatecznego w suknie niewieście, a co zatem idzie, pod władzę ciotki chorążyny. Doczekała nakoniec tej upragnionej chwili, kiedy wiek trzech par bliźniętek przedstawiał 17, 16 i 15 lat, kiedy znów stałe przywdziały strój białogłowski, a ciotka ich rozwinięte kształty uwięziła w brykle i rogówki. Zapędzała je gorliwie do tańca, muzyki i krygów. Zapewne, że pojęte dziewczynki.

Glinkowie.



czątką wymaganiom ciotki odpowiedziały, ale że natura ciągnie wilka do lasu, one też, jak wilczki, nietylko literalnie do lasu, ale i do łaciny księdza stryja, do której stary mnich zdołał w nich obudzić zamiłowanie, ciągnęły; ile razy mogły się wyrwać do niego, chętnie ciotkę opuszczały.

Niebezpieczniejszym jeszcze od O. Honorata antagonistą, co do dziewcząt, chorążyny był porucznik z łowami. Sam zagorzały myśliwy, nie mógł się obyć bez tych dzielnych kompanów, których sam przysposobił. Pierwsza ponowa lub dobre pole niewczyły wszelkie zabiegi chorążyny i dziewczęta, przebrane po chłopięcemu, bo tych i owych sukien nosić nie przestawały, towarzyszyły ojcu do kniei, lub wierzchowo z chartami.

Skoro wszystkie trzy pary bliźniątek dojrzały już na panny, stały się zachwytem okolicy. Starzy zjeżdżali się do porucznika pomówić z dziewczętami doskonałą łaciną; myśliwi zapolować; młodzież poskakać w tańcu, w którym ich ciotka chorążyna wydoskonaliała, nareszcie posłuchać pięknego śpiewu i muzyki, bo i ten kunszt sobie przyswoiły. Nieznajomi napływali w święta do ubogiego glińskiego kościołka, aby się rozkoszować pobożnym śpiewem bliźniątek, które, gdy z nauki księdza stryja zaintonowały sześcioma dyszkantami (coby dziś „sopranem“ nazwano) „Salve Regina“ lub Godzinki o Niepokalanem Poczęciu, bądź inne hymny kościelne, pobożni dość się nasłuchać nie mogli. Ksiądz stryj rósł w dumę, że jego kościółek dotąd ze szczupłą

garstką parafian, teraz omal nie rozsadzały tłumy pobożnych, a raczej (Boże odpuść) ciekawych posłyszec śliczny i porywający duszę śpiew piękny bliźniątek. Za pobożnymi szły wota i ofiary, tak, iż dzięki dziewczętom, kościół pokrył się dachówką i przybył mu mały organik. Sąsiedni zaś proboszczowie sarkali na to, iż czego nie mogły dokazać ich cudowne obrazy, sprawiły to sześć grzesznic śmiertelnych, w postaci bliźniątek.

28.403



III

Najbliższym sąsiadem porucznika był pan kasztelan Borejko, powiedziałbym nawet „przyjacielem“, gdyby nie to, iż lubo co do prozapii rodu Glinkowie nic nie ustępowali Borejkom, jednak kasztelan, jako dziedzic obszernego państwa Pikowskiego, był magnat całą gębą. Porucznik zaś, chociaż mógł być po przodkach dziedzicem całego powiatu, ale los go zdegradował na chudego pacholka. Mimo zaś tej tak głoszonej równości szlacheckiej, tam się ona tylko przyjmowała, gdzie magnat spuścił coś ze swej pychy, a szlachcic znał, które „wysokie progi na jego nogi“.

Taki też stosunek zachodził, a nie powiem, żeby najgorszy, pomiędzy porucznikiem a kasztelanem, którego aż dwa węzły wiązały do porucznika: raz że był ojcem chrzestnym wszystkich trzech par bliźniątek, a powtóre, jako zawołany myśliwy, był ich wielkim admiratorem. Obdarzył też dziewczęta doskonałemi ruszniczkami i innemi ryszunkami myśliwskimi, a nawet sześć dobrych mierzynków ze swego stada pod wierzch im kazał przysposobić.

— Już to winieneś waszmość sto świec do Opatrzności Boskiej — powiadał nieraz porucznikowi, patrząc na bliźniątka, — iż cię obdarzyła takimi setnemi dzieweczkami, jak moje chrestniaczki, bo do tańca i różańca, a nie tak, jak moje cherlaki, *casus pascudeus*, *) do niczego; gdy czasem z okna strzelę do jastrzębia, to zaraz posłyszysz: „achi! ocha!“ spazmy w całym domu. Setnie żałuję, że mój syn znacznie przerósł córki waszmości i już się ożenił, kiedy je kołysano, a miałbyś mię swatem.

— Mowa się mówi, a chleb się jada, mości kasztelanie i gdyby kasztelanie był dotąd nie żonatym, to poszukałby sobie magnatki, jak mu się patrzy.

Trwały sobie te stosunki, a może w istocie dla tego najlepsze, że porucznik sam będąc w zażyłości z kasztelanem, nie narzucał mu się z córkami, chociaż Borejko tego się domagał; kasztelanowa trzymała się wyniośle względem drobnej szlachty, więc porucznik córek do chrestnego ojca nie zawoził.

Pewnego jednak roku, kiedy wdzięki trzech par bliźniątek były w pełnym rozkwicie, wiek zaś ich przedstawiał się w cyfrach lat 19, 18, 17, kasztelan

*) Dawni Polacy miewali swoje szczególne, ciągle powtarzane pogadanki, po których dotąd ich rozróżniają. Któż to nie wie o kim rzecz, jeżeli mu powiedzą „*Rewera, Rybeńko, Panie Kochanku*“ i t. p. Tak samo i kasztelan Borejko, chociaż w mniejszem kółku, od przysłowia był przezywany „*Casus pascudeus*“.

właśnie wydawał ostatnią, ulubioną córkę, za podkomorza kijowskiego, także magnata. Pragnął uczcić gody wielkimi łowami i kilkodniowym festynem z przeróżnymi wymysłami i siurpryzami, na jakie pańska imaginacya i szkatuła zdobyć się tylko mogły. Zawinał się może po raz setny i gorliwie, aby sprowadzić porucznika z córkami. Może mu nietylko zależało na ich kompanii, ale chciał się pochwalić zręcznością łowiecką chrzestniaczek i tę do niespodzianek festynu zaliczyć.

— Wybaczenie, mości kasztelanie, ale moje prostacki nie do waszych salonów — opierał się tentacyom i submisyom Borejki porucznik.

— Odmowę tę poczytuję, jako despekt, *casus pascudeus* i jeżeli się nie dasz waść zmiękczyć szczerą supliką... to kwita z przyjaźni!...

Lecz, że porucznik nie dał się zmiękczyć, pierwszy to raz prawie od półwieku zażyłości, rozstali się na chłodno.

Wszakże nazajutrz zaszło niespodziane zdarzenie, stanowiące epokę w kronikach zaścianka: sama pani kasztelanowa, swoim zwyczajem dworno i szumnie, razem z córką, stawiała się z submisyą u pani chorążyny, z inwitacyą dla niej i bliźniątek na gody weselne. Kasztelanówna zaś, sama młoda i dość żwawa na pańskie wychowanie, łatwo do rówieśniczek przylgnęła i nie mogła się dość nacieszyć śliczniutkami bliźniątkami.

Po odbyciu tych szumnych odwiedzin, chorążynę, jakby kto na sto koni wsadził, natychmiast

z pod lawendy i macierzanki, używanych wtedy do ochrony szat od niszczenia robactwa, wydobyla zaklęte w kufrach robrony, koronki, szale, aksamity i t. p. i wszystko zawczasu przewietrzała na płocie, wartując osobiście, aby psy nie poszarpały.

— A to co za gala, pani siostrze?—spytał uśmiechnięty porucznik, który wracając z odległego pola od robotników, nieświadom był przygody wielkich odwiedzin.

— To pan brat nic nie wiesz? Była tu kasztelanowa *osobiście* (na tym wyrazie nacisk położyła) z córką, inwitować nas na festyn weselny.

— Co za *nas*? chyba panią siostrę? — przerwał porucznik znacząco.

— Mówię „nas“, bo mnie i dziewczęta.

— Dziewczęta nie pojedą, a co do was, jak się podoba — zakonkludował stanowczo porucznik.

— Więc pan brat jesteś tyran, ale nie ojciec, kiedy własnym dzieciom los zagradzasz. Ja w takim domu ani chwili dłużej nie bawię! — rozwydrzyła się chorążyna, a dostrzegając swej służebnej, zawołała:

— Magda, idź najmij mi na wsi konie pod basztardę i parę wozów pod rzeczy, dziś jeszcze wyjeżdżamy.

Najniespodzianie na tę scenę nadszedł stary Dominikanin, a widząc tę alteracyę, która się między rodzeństwem dotąd nie zdarzała, przemówił:

— Bóg z wami! Od lat kilkunastu pierwszy raz widzę was takich zaperzonych, a przecie to *con-*

cordia res parvae crescunt, kłótnia to obraza Boża.
I o cóż to znów chodzi?

— Sam Bóg zsyła nam księdza brata — rozpoczął porucznik — boś to jest i uczony i praktyk w życiu, a owóż o co nam chodzi.

Tu porucznik, opowiedziawszy o odwiedzinach i inwitacyi, tak konkludował:

— Otóż osądź sam, księże bracie, czyli pomimo owych zabiegów i rzekomej pańskiej submisyi, przystoi, abym dziewczki tam powiózł?

— Dlaczego nie? — spytał krótko Dominikan.

— Ano już dla tego samego, że za wysokie progi na nasze nogi.

— A to przedłuż sobie nogi, panie bracie, boć przecie kasztelaństwo nie dmuchnęli ci w kaszę przez swoją atencyę. Trzebaż nareszcie i dziewczkom pokazać świat, który się nie kończy na kniei. A co do progów, to takie każdy posiada, jakie Bóg dał i na jakie go stać, a o tej ich wysokości jest bezsensowna gadka, przez którą sama szlachta wbija w dumę panów.

Rozumie się, stanęło na tem, jak mądry ksiądz brat zawyrokował. Jeszcze tylko jedna kwestya rozbijała się między bratem a siostrą, która upierała się przytem, aby dziewczęta ukazały się na festynie tylko w strojach białogłowskich i po chłopięcemu w łowach udziału nie przyjęły.

— Czyś zwaryowała, pani siostro? — zawołał sierdziejście porucznik, kręcąc palcem po czole. — Ja miałbym pozbawić moje dziewczki podobnych łowów?..

Prędzej zgodzę się na to, żeby nie występowały jako podwiki. Toż to przecie słynna na całe województwo knieja Borejki, a terazniejsza, tak zwana „kasztelan-ki Anny“... od lat dwudziestu nieplondrowana, strze- gą jej całe zastępy leśników, jak oka w głowie; wszystkie zaś padliny z całego majątku każe tam kasztelan zwozić, żeby zwierz sobie rozkoszował. Zwiedzałem ją niedawno, rozumie się bez rusznicy, bo samego hetmana zbrojnoboy tam nie puszczono, i powiadam aśce, na własne oczy widzałem takie ogromne odyńce, jak żóławskie byki!... A co łosi i je- leni... tego nie przeliczyć!... I ja miałbym dzieci ta- kiej uciechy pozbawiać? Z asamblami to lada gdzie można się spotkać. Ale co takich łowów przy naj- dłuższem życiu można nie widzieć.

I porucznik postawił na swoim. Ponieważ zo- stawało niespełna parę niedziel do tych festynów, a więc ówczesnym zwyczajem, sprowadzono z po- bliskiego miasteczka Żydów krawców męzkich i żeń- skich, ci dniami i nocami pracowali, aby bliźniętka po chłopięcemu i białogłowskiu jak najprzystojniej ogarnąć. Szczególniejszych starań i zabiegów przy- kładała chorążyna, aby strojem płci właściwym za- błysnąć. Dziewczątka zaś i bały się i cieszyły na myśl pierwszego z wielkim światem zetknięcia.

IV

Bez zaprzeczenia Borejko był ostatnim wielkim myśliwym w dawnej Polsce. Jego myślistwo nie miało wielu sobie równych, spółzawodniczył z zawołanymi łowcami puszczy litewskich: Radziwillem, Rejtanem i wielu innymi. Jeżeli do takich łowów poruszył cały zastęp swoich strzelców i myśliwych, który co do ludzi znacznie setkę przechodził, a co do rozmaitych psów, zwierząt i ptaków łowieckich, w przeróżnej jakości pierwszych na świecie gatunków, to już nikt czemś podobnem pochwalić się nie mógł. Dla określenia jego amatorstwa dość powiedzieć, że sam osobiście odbył podróż do Szwecyi dla zdobycia pewnego miotu ogarów, który z czasem pod nazwą „borej-kowskiego“ zasłynął.

A zresztą u kasztelana do tej pasyi łowieckiej przyłgnęło wiele ambycyi i nieco dziwactwa, tak właściwego starym Polakom. Jak niegdyś za dobrych czasów, ojcowie przy narodzinach córek zamurowywali wino na dzień wesela, tak on dla każdej ze swoich zachowywał pewną knieję w ten sposób, jak to się wyżej opisało, iż nietylko nie ploszył i nie tępił zwierza, ale pielęgnował i karmił, aby

w dzień solenny wielkimi się łowami popisać. Lasy zaś pikowskie, dziś zupełnie przetrzebione, były to niegdyś głucho, niezmierzone puszcze. Największą z nich pozostawiając, jak najlepszy kasek na wety, dla ulubionej ostatniej córki, umyślił zabłysnąć i świat zadziwić niesłychanemi dotąd łowami.

Gości więc sprosił co niemiara i sławnych z Litwy spółzawodników myśliwych. Sam nie szczędził sumptu i własnego trudu; wszakże znał to do siebie, iż nad porucznika Glinkę nikt lepiej wielkimi łowami nie zarządzi, jemu też główną komendę powierzył. Znał również, że nikt lepiej ojcu nie dopomoże, jak wyćwiczone w tej sztuce bliźniątka, zatem pozyskując je na łowy, odnosił korzyść podwójną: raz pozyskiwał dzielne łowczynie, a potem i ten rarytas mógł gościom okazać — niewiasty biegle w sztuce myśliwskiej.

Glinka zaś każdą sprawę myśliwską gorąco biorąc do serca, zajął się i tą gorliwie, ażeby zaufania nie zdradzić. Na parę dni przed polowaniem, przebiegł się do dworku głównego leśnika pod samą knieją, razem z córkami, które jako dokładnie świadome łowieckiego procederu, wielce mu były pomocne.

Że pomimo dzisiejszych przechwałek, wszystko u nas drobnieje i nikczemnieje, tak też ma się i z łowami, a dzisiejszym myśliwcom zdaje się, iż dośćby zarzucić flintę na plecy, puścić psy do lasu i już wszystko skończzone, a naiwny jakiś zajaczek sam się nawinie na strzał. Lecz, jako żywo, nie tak bywało z dawniejszemi łowami, praca to bowiem, a i znajo-

mość rzeczy musiała być nie ladajaka, zbadać całą pozycję miejsca, wyszukać głównejsze barłogi i legowiska, wytropić zwierza w ten sposób, aby go nie wypłoszyć. Następnie osaczyć knieję, pokierować naganką, dowcipnie obrzucić sieciami cały ostęp, aby zetknąwszy kulca z kulcem, nie pozostawić zwierza za obrębem obławy — cała w tem mądrość się zawierała.

Pamiętajcie na to, że dawne łowy nie były, jak dzisiejsze, płochą zabawką, walką z lęklwym zajaczkiem lub niewinną sarenką. Jeszcze to w całej sile trwała dawna przypowieść: „idziesz na niedźwiedzia, gotuj nosze, a na dzika — mary“; pobożniejsi nawet przed wielkimi łowami przystępowali do Sakramentów, gotując się, jak na wojnę.

Już w przeddzień łowów przygotowawczy tabor myśliwski, wedle przyjętego porządku, nadciągnął na miejsce; wszystko się tam znajdowało okrom psów, które, aby nie płoszyć zwierzyny, przyprowadzano w sam dzień polowania. Tymczasem zwieziono sieci na kilkunastu wozach, a kilka tysięcy chłopów stanęło do obławy i naganki, boć to i knieja była, niepospolita, kilkomilowa.

Wiedzieć należy, iż zazwyczaj łowy, na których tak olbrzymią siłą działano, nie mogły się przeciągnąć dłużej nad dzień jeden, lub kilka godzin, bo raz wypłoszona zwierzyna, już po przerwie łowów nie wróciłaby na dawne legowiska. Dzisiejsze łowy miały się rozpocząć równo z brzaskiem, o drugim pianiu koguta, a zakończyć z południa, tak, aby nie-

wiastom starczyło dnia do przebrania na obrzęd ślubny, który dla większej prozopopei, miał się odbyć po zachodzie słońca, przy iluminacji.

Opuściwszy cały proceder łowów, zbyt dziś trudny do opisania, bo dla naszego pokolenia będący „wilkiem żelaznym“, wrócimy do bliźniątek, których dotąd z powierzchowności nie daliśmy poznać czytelnikowi. Wyznaję, iż ta impreza może nie łatwiejsza, ale z powinności i z porządku rzeczy pokusić się o nią potrzeba. Nim co do czego przyjdzie, nawija się mi na myśl, iż białogłowy, w dzisiejszych nawet czasach rozpowszechnienia tak zwanej *emancypacji*, lubiące się wdierać w nasze męskie prerogatywy (nie zawsze fortunate), stroju nam nigdy nie odejmą, pozostając przy swoich jupkach, robronach, mantylach, turniurach i t. p. Gdyż Bogiem a prawdą powiedziawszy, nie znam nic niewdzięczniejszego pod słońcem nad białogłowę w męskich sukniach; nawet o ile mi się widzieć zdarzało słynne aktorki w męskich rolach, te wcale nieestetycznie wyglądały. Zatem mam zaszczyt zapewnić cię niniejszem, miły czytelniku, iż przy najświetniejszym powodzeniu tak zwanego równouprawnienia kobiet, możesz utracić wszystkie prerogatywy płci brzydkiej, atoli bądź o to spokojny, iż frak, kamizelka, szelki i t. p. odjętemi od ciebie nie będą.

Ale wróćmy do naszych łowczyń, które co do stroju męskiego, stanowiły wyjątek z pod ogólnego prawa; zapewne z tej racji, że od dzieciństwa zrosły się z tym strojem, którego dotąd przez większą

połowę życia używały, a można powiedzieć, iż dotąd wychowały się więcej po chłopięcemu niż po białogłowsku. Wcale powabnie tedy wyglądały w zielonych kurteczkach ze złożonemi guzami, w bucikach palonych, uwydatniających piękny kształt jakby utoczonych nówek; a magierki z młodego baranka ze srebrnemi kitkami stroiły te śliczne, świeże główki zdobniej nad wszystkie kwefy i fryzury. Każda z nich w rękę trzymała gardłaczyk — boć to polowanie na grubego zwierza — na zapas zaś miała przewieszoną przez ramię ruszniczkę szwedzką, co zapewniało dwa strzały, gdyż jeszcze naówczas dwururne strzelby mało były rozpowszechnione; na drugiem ramieniu wisiała zgrabna torba borsucza, obok niej rożek myśliwski. Na widok każdej z nich powiedziałbyś niezawodnie:

— Zwiny młokos! Pewno wyrośnie na dzielnego męża.

Rozpoczęły się słynne na cały świat łowy — a jakie łowy? opisać dziś niepodobna, bo dotąd żyje w tradycyi gadka, że „gdy Borejko polował, niebo i ziemia huczały“. Przychodzi mi tylko zanotować fakt, służący za wątek do naszego opowiadania. Przewodny wódz łowów, porucznik, wyznaczwszy wszystkim stosowne stanowiska w kniei, sobie i córkom szczególnie starszym, Urszulce i Hance, bardziej doświadczonym łowczyniom, pozostawiwszy główny dozór nad całością, uwijał się z niemi po lesie, a dla lepszego baczenia, każde z nich szło oddzielnie samopas.

Urszulka, obiegając znaczną część lasu, a kie-

rując naganką i dojeżdżaczami, zatrzymała się w jednej chwili na pewnym punkcie, gdzie zwrócił jej uwagę niesłychany szum, szelest, łamanie gałęzi i niepolity impet: widocznie pędził odyniec. Że punkt ten był wcale nieoobsadzony uznała za słuszną tu pozostać. Wprawdzie przyjrawszy się pilniej, dojrzała, iż opodal na przesmyku stało jakieś dziwne stworzenie z białymi kudłami. Odrązu nie mogła zmiarkować, co to za zwierzyzna? lecz wpatrzywszy się pilniej, poznała w tem *czemś* kształt ludzki, gdyż owo *coś* miało nogi i ręce, a trzymało strzelbę, gotową do strzału. Był to wprawdzie jeden z gości kasztelana, z niemiecka przyodziany, ale że w Glińsku pomiędzy bracią szlachtą dziewczyna nigdy takiego stroju nie widziała, więc ukrywając się za krzakiem, jęła się ciekawie przypatrywać. Wszakże przytem natężyła słuch czujny na on łoskot niezwykły, który się szybko zbliżał i coraz wyraźniejszym stawał.

Nagle rozłamało się tuż obok kilka drzew i z pędem niesłychanym (któryby dzisiejszy człowiek do impetu lokomotywy przyrównał), ziejąc iskry z rozjuszonych nozdrzy, rycząc i parskając, cały skrwawiony, pędził odyniec, niszcząc kłami i siłą cielską, wszelkie napotykanie po drodze przeszkody. Wyglądał, jak duża bryła smoły, miał więc na sobie pancerz nie przebity, o który już siła się strzałów odbiła, a w pędzie skierował się prosto na owo „kudłate stworzenie“, które, nie mierząc prawie, strzeliło. Zwierz pędził prosto na niebacznego strzelca, który widząc grożące mu niebezpieczeństwo, rzuciwszy

wystrzeloną rusznicę, co tchu zmykał. Atoli rozjuszony zwierz prześcignął go szybkością, już go doganiał i jeden króciutki moment śmierćby mu nieochybną zadał, porwał na szmaty, gdy mężna łowczyńni z szybkością, której żadna oszczędność słów odmalować nie zdoła, zabiegając zwierzowi drogę, celnym strzałem wsadziła mu cały nabój gardłacza w oko, jedyną część tego ogromnego opancerzonego cielska, przez którą śmierć miała przystęp. Strzał śmiały celnym być musiał, gdyż w przeciwnym razie groził zuchwałemu strzelcowi śmiertelnym odwetem. Bestya z rykiem piekielnym zachwiała się już blizka upadku, atoli dobywając rozpaczliwych sił ostatka, z niepomierłą wściekłością rzuciła się ku swej zabójczyni, z widoczną determinacją, iż darmo życia nie odda.

Urszulka, nie tracąc odwagi na to jawne niebezpieczeństwo, z rącością wiewiórki skoczyła na wierzchołek wysokiego drzewa i zdjąwszy flintę z ramienia, celnym strzałem ugodziła zwierza w drugie oko; potwór wydawszy straszny ryk ostatni, runął nieżywy, aż ziemia jęła. Dziewczyna, dokonawszy tego czynu łowieckiego, któremu w prostocie ducha nie przypisywała nadzwyczajnego heroizmu, zsunawszy się z drzewa, przystąpiła do nieżywego wroga, przypatrując mu się litośnie, jakby się chciała usprawiedliwić, iż tylko w obronie własnej całości śmierć mu zadała.

A w tej chwili nie pamiętała o „kudłatem stworzeniu“, które od jawnej śmierci wybawiła. Lecz po-

mimo to oglądawszy się, dojrzała zdziwiona, że ów ktoś, podobny teraz do człowieka z ogoloną głową, rozplątywał z krzaku siwe one kudły, które w ucieczce na gałęzi się zawiesiły. Zaśmiała się w duchu piękna łowczyni, przypominając sobie z historii biblijnej przygodę Absalona, o której ksiądz stryj opowiadał i już owo stworzenie „Absalonem“ w myśli przezwiała. Wszakże odwróciła się, nie śmiąc patrzeć zuchwale w oczy temu poszkodowanemu na włosach, który tymczasem, przytwierdziwszy jako tako perukę na głowie, zbliżył się do zabitego dzika, a tem samem i do Urszulki, która już chciała się oddalić, gdy w tem Absalon przemówił protekcyjonalnie i nie bez pewnej bezczelności:

— A co chłopaku!... pokonaliśmy przecie tę ogromną bestyę... Prawda, że mi trochę dopomógł, ale mój strzał pierwszy dobrze go napoczął, chociaż i bez ciebie poradziłbym do końca, jednak zawsze przyznaję, żeś się gracko spisał.

Urszulka pokraśniawszy milczała, nie znajdując odpowiedzi na tak zuchwałą impozycję.

— Powiedzże mi kochanku — ciągnął Absalon, przypatrując się Urszulce — kto jesteś, taki młody, a piękny i odważny?

— Ja?...myśliwy tutejszy... Ale wybaczy jego-
mość... muszę wracać na stanowisko — jękając się, wypowiedziała Urszulka i już chciała odbiedz, gdy ją Absalon zatrzymał.

— Poczekaj no chłopaczku, czego ci tak pilno?

Razem walczyliśmy, nacieszmyż się naszymi łupami — wyrzekł chętnie, potrącając nogą ścierwo odyńca. — Ależ to ogromna bestya, jak rosły koń. Powiedz no, chłopaku, czy nie będzie to ów największy odyniec, za zabicie którego wyznaczył kasztelan nagrodę?

Urszulka skonfundowana milczała.

— A ty, jak myślisz, chłopaku? — naglił Absalon.

— Przypuszczam, że tak jest, bo w istocie trudno spotkać większego dzika... Ale pozwól jegomości, że odejdę na stanowisko.

Znów Urszulka chciała odchodzić, Absalon przytrzymał ją za rękę.

— Poczekaj chłopaku, czego ci tak pilno, jeszcze zdążysz... Owóż... to ci chciałem powiedzieć, że gdybyś sam położył tę bestyę, otrzymałbyś dziesięć czerwonych złotych przyobiecanej nagrody, a ja ci dam trzydzieści, bylebyś się nie przyznawał do udziału w tem zwycięstwie... Zawsze lepsze trzydzieści niż dziesięć, rozumiesz?

Urszulka nieśmiała, skonfundowana, trzymana za rękę przez Absalona, nie wiedząc co począć — milczała. On zaś, przyjmując to milczenie za odmowę propozycji, tentował dalej:

— Dam ci chłopaczku pięćdziesiąt dukatów, po łowach przyjdiesz do mojej stancyi, a natychmiast wyliczę ci pieniądze. Znasz mię zapewne, jak i cała służba wuja kasztelana... Masz czterdzieści dukatów w zysku, a co do puhara, to tegobyś nie dostał, bo

ten wyznaczony dla panów, ale nie dla prostych myśliwych... Czy zgoda mój piękny chłopaczku? — zakończył z przymileniem głaszcząc Urszulkę po zapłonionej twarzy, a gdy mu się chciała wyrwać, przytrzymując ją silniej, dodał:

— Nie puszczę cię piękny chłopaku, aż cię uściskam na podziękowanie za okazaną pomoc i póki się nie zgodzisz na moją propozycję.

To mówiąc przyciągnął piękną główkę Urszulki, składając pocałunki na obu zarumienionych policzkach.

— Zgoda, zgoda! — zawołała dziewczyna płonąca od wstydu i całym wysiłkiem wyrwawszy się od Absalona, w gąszczy się lasu ukryła.

Wkrótce potem nadbiegli myśliwi, podążający na one trzy strzały, a widząc Absalona nad powalonym dzikiem, zawołali chórem:

— Winszujemy jegomości!

— Toż to jest ów tak zwany „byk żuławski“, za którego wyznaczona nagroda!... Wiwat! niech żyje król łowów!

Któryś tam zatrąbił „na upad“, natychmiast ściągnął cały zastęp myśliwych. Absalon całej kupie wyplatał duby smalone o zwycięstwie nad dzikiem: jako dał jeden strzał z ziemi, a dwa inne wskoczywszy na drzewo i t. d. Myśliwi, kiwając z niedowierzaniem głowami, słuchali opowiadania tej kuso odzianej figurki, w przekręconej peruce. Lecz nikt jawnie zaprzeczyć nie śmiał, w obec widocznego faktu, bo, prócz Absalona, nikogo nie znaleźli przy

zabitym dziku. A któżby się zresztą na rzecz innego zaparł zwycięstwa, przy którym była nagroda? Że się już łowy kończyły, bowiem prócz ogromnego odyńca, kilkanaście wozów zabitej zwierzyny naładowano i już „pojezdne“ otrąbiono, wszystko się ruszyło, myśliwi zaś Absalona w potarganej peruce, jako tryumfatora, ponieśli na barkach do zamku, przy wiwatach i okrzykach, a tem głośniejszych, iż ów tryumfator był siostrzeńcem pana zamku.

V

Zamek w Pikowie był niegdyś rezydencją Lubomirskich, od nich bowiem nabył tę majątność Borejko. Była to w rzeczy siedziba pańsko-rycerska, jak kiedyś przystało w onym kraju, położonym na szlaku tatarskim.

Sam zamek obszerny i warowny, mogący ostać się nieprzyjacielowi i siła załogi wewnątrz pomieścić, nie posiadał w sobie owego „cukierkowego“ wyglądu, jaki nadawano pańskim pałacom w ostatnich latach XVIII wieku. Nowy też dziedzic, zachowując chociażby dla pamiątki surowy styl dawnej budowy, wyporządził tylko wnętrze zamku, stosując do wymagań gościnności, często u Borejki praktykowanej, i obecnie, chociaż setka przeszło panów na zamku gościła, jednak każdy znalazł kąć wygodny, miał się gdzie przytulić.

Toż i chorążyna, z pełnemi kuframi strojów własnych i bliźniątek, zajęła parę izb wygodnych w jednym skrzydle zamku. Chociaż większa część pań, nie biorących czynnego udziału w łowach, jako spektatorki towarzyszyły im w powozach, a młodsze konno — bo i ta się już moda zagęszczała — jednak chorążyna, stoczywszy bitwę z bratem o strój chło-

pięcy bliźniąt i udział ich w łowach, nie chcąc pa-
trzeć na to zgorzenie, wyczekiwała powrotu dziew-
cząt, aby wytwornością stroju białogłowskiego zaka-
sować ubiór myśliwski, na który się ojciec wysadził.
Że dziewczęta, jak nam wiadomo, wprost z domu
z ojcem do kniei się udały, więc chorążyna postawi-
ła służebną Magdę w bramie na czatach, aby dziew-
czętom jej kwatere wskazała.

Pierwsza nadbiegła Urszulka pomieszana, skon-
fudowana pocałunkiem Absalona, który lubo wymie-
rzony nie do jej płci własnej, ale tylko przybranej,
jednak palił jej twarz i wstydu nabawiał.

— Spotkam niezawodnie tego Absalona na
zamku, gdyż mianował się siostrzeńcem kasztelana,
pozna mię!... Co za konfuzya, jakże mu spojrzę
w oczy? — myślała nieboga, pośpieszając na zamek
manowcami, aby nie być poznaną.

Bardziej ją jeszcze przeraził ten wypadek, że
w drodze napędził ją orszak, niosący w tryumfie Ab-
salona, obok ogromnego odyńca, złożonego na wozie.
Ukryła się, aby nie być widzianą i jeszcze raz po-
przysięgła sobie zachowanie najgłębszej tajemnicy
z tej łowieckiej przygody. Wyminawszy szczęśliwie
orszak tryumfalny, Urszulka wpadła do ciotki pomie-
szana, zmieniona, ledwie żywa, tak, iż się chorążyna
przelekła na jej widok.

— Co ci to jest, moje dziecko? — spytała tro-
skliwie.

Dziewczyna, nie przyzwyczajona do kłamstwa,

narazie nie umiała odpowiedzieć, lecz sama chorążyna przyszła jej w pomoc narzekaniem na brata:

— Azali jest w tem sens, włóczyć dziewczęta po kniei całe dwie doby!... Wasz ojciec nietylko zepsuje wam reputacyę, ale i zdrowie. Patrz, dziewczyno, do czegoś ty podobna!? — zakończyła, stawiając ją przed zwierciadłem.

— Ja też, cioteczko — podchwyciła Urszulka — tak jestem zmęczona, że się przebierać nie będę i na pokoje nie pójdę, o zmroku zaś z Magdą przebiegnę do domu.

— O!... co z tego nic nie będzie, mościa panno, bo chociaż wszystkie macie stroje, co się zowie piękne, ale twój mi się powiódł najlepiej i od swego nie odstąpię... Chcę, ażeby pan porucznik przekonał się, po czyjej stronie awantaż.

Jakoż ciotka postawiła na swoim i wszystkie sześć dziewcząt wprowadziła na pokoje, a nie omyliła się wcale, licząc na ich powodzenie; jeżeli bowiem do twarzy było bliźniątkom w myśliwskich strojach, to niemniej szmer podziwu i admiracyi wniosły ze sobą na pokoje kasztelana. Zręczność i giętkość kształtów, nabyte przez ustawiczny ruch i ćwiczenia łowieckie, łączyły z wrodzoną skromnością i wstydem niewieścim.

Acz skromnie — lecz gustownie odziane, wdziękiem, krasą i świeżością przyćmiły przepych strojów magnatek. Do tego ośmieliła je kasztelanowa i panna młoda swoją uprzejmością. Młodzież zaś nie spuszczała oczu z tych wdzięcznych krasotek.

Wszystkim siostronom pod względem urody nie było do zarzucenia, wszakże Urszulka przewyższała je teraz. Rozdrażniona nieustanną trwogą, aby nie być poznana przez „Absalona“, mieniła się ciągle na twarzy, to kraśniała, to bladła, co bardziej jeszcze powab jej naturalny podnosiło. Pilnie śledziła wszystkich przybranych kuso, w pudrowanych perukach — było ich wprawdzie zaledwie kilku, ale strój ten tak się jej wydawał jednostajnym, iż Absalona między nimi wyróżnić nie mogła, a stąd i sama doznała uspokojenia, że i ona w znacznie odmiennym stroju nie będzie poznana i już nieco trwogi się pozbyła, gdy wtem niespodziana okoliczność na nowo ją wzburzyła.

Wszystko już było gotowe do ślubu, oczekiwano tylko na przybycie drugiej druchny, którą być miała najbliższa sąsiadka, panna starościanka Choloniewska z Janowa. Gdy wtem nadbiegł kozak na spienionym koniu, z pismem zawiadamiającem, że wskutek nagłej niedyspozycyi, starościanka nie przybędzie. Choroba druchny, zaraz to niby zły prognostyk, różnie różni o tem omenowali. Ale w każdym razie kłopot dla gospodarzy, którzy naradzali się z sobą, co tu począć? Tymczasem ksiądz biskup, sprowadzony umyślnie na ten festyn, oczekiwał pontyfikalnie w kościele, iluminacyę w miasteczku rozpalono etc.

Pan młody niecierpliwił się, trzeba było coś rychło postanowić, bo obyć się bez drugiej druchny zwyczaj nie pozwalał. Po cichej tedy naradzie z mał-

żonką, kasztelan, wzięwszy córkę za rękę, zbliżył się z nią do Urszulki i powiedział:

— Zaiste *casus to pascudeus* niedyspozycya imć panny starościanki, na szczęście jednak sama pisze, iż nie jest groźną... Ale czegoż to my się turbujemy o inną druchnę, kiedy mamy wybór najstosowniejszy — przecie panna młoda, krom dwóch siostr zamężnych, ma jeszcze sześć w panieńskim stanie, które także są mi córkami, acz chrzestnemi tylko, przeto niemniej miłemi mojemu sercu. Submitujemy się tedy waszmość pannie, moja Urszulko, razem z dzisiejszą oblubienicą, abyś jako jedna ze starszych, uczyniła swej siostrze zaszczyt druźbowania i wybawiła nas z onego *casus pascudeus*.

Był to w istocie krok może bardziej dyplomatyczny, niż serdeczny ze strony gospodarza, gdyż w liczbie gości znajdowały się księżniczki i hrabianki (rozumie się świeżej kreacyi, która przy schyłku zeszłego wieku w modę wchodziła), więc przez preferancyę jednej arystokratki można sobie było drugą narazić, uderzając zaś w sferę sentymentalną, chociaż niższą i... wilk był syty, i owca cała.

Ale biedna Urszulka wolałaby pięciu naraz odyńców w kupie spotkać, a prędzejby z nimi dała rady, niż z taką niespodzianką, z której nie wiedziała, jak się wywikłać. Szczęściem nawinęła się chorążyna, rosnąca w niepomierną dumę na on zaszczyt nieoczekiwany, a przysadziwszy ręką Urszulkę do zrobienia pięknego dyga, recytowała za nią piękną perorę, poczynając się od słów:

— Nieoczekiwany ten, spotykający nas honor i splendor, który...

Wszakże oratorską jej wenę przerwał całus szczery, przynajmniej napozór, panny młodej, złożony na zapłonionych policzkach Urszulki.

— Dziękuję ci z całego serca, miła siostrzyczko — rzekła — za uprzejme przyjęcie mej prośby, racz tedy objąć twój nowy urząd, bo i tak się wszystkim przewlekło, a ksiądz biskup oczekuje w kościele.

Tymczasem chorążyna nie darowała swego, bo dopadłszy brata na uboczu, szepnęła mu z przekąsem:

— A co, panie poruczniku, nie mówiłam? Czyje na wierzchu? I jeżeli dziewczęta dostępują zaszczytu, to pewnie nie w tych cudackich myśliwskich strojach.

Rada nie rada, Urszulka obejmowała nową godność: pan młody, prowadzony już przez inną druchnę, podał jej drugie ramię i dawnym obyczajem, szli po błogosławieństwo rodziców i starszych, którzy tym końcem pośrodku komnaty, dokoła kobierca zasiedli. Ciągnęła machinalnie za weselnym orszakiem biedna Urszulka, jakby na stracenie prowadzona. Zdawało się jej, iż oczy wszystkich przytomnych nawskroś ją przeszywają, a najbardziej obawiała się peruk pudrowanych. Ani wiedziała nieboga, w jaki sposób wsadzono ją następnie do paradnej kolasy, obok panny młodej i innej druchny, jak u drzwi kościoła wydobył ją stamtąd pan młody, którego z inną druchną prowadziła do ołtarza, ale sprawiedliwiej mówiąc, on włókł tę nieszczęsną ofiarę. Co

zaś biedaczkę najbardziej zaniepokoiło, to to, że przy zaczęciu samego obrzędu, stanęła przy niej jedna z pudrowanych peruk i chociaż ciekawość ją paliła, aby się dowiedzieć, czy nie był to jej Absalon, ale z konfuzji wzroku obrócić nań nie śmiała.

Z kościoła nowożeńcy wsiedli do paradnego ekwipażu pana młodego. Urszulce podała ramię „pudrowana peruka“, na którą ona spojrzeć nie śmiała, obawiają się rozpoznać w niej Absalona — i ciągnęła niebogę do innego powozu.

Już chciała mu się wydrzeć, lecz widząc, że i inne tak czynią, poszła za ich przykładem. Posażono ją obok innej, strojnej kobiety, a naprzeciw usiadły aż dwie pudrowane peruki. Tu już trwoga biedaczki nie miała granic, obawiała się, żeby jedna z tych peruk nie należała do Absalona.

Atoli bardziej się jeszcze przeraziła, kiedy powóz ruszył z miejsca i troje jej towarzyszy rozpoczęło żwawy dyskurs w jakiejś obcej dla niej mowie, wszakże nie po łacinie, bo tę znała *expedite*. Ta okoliczność przeraziła ją bardzo, a przypuszczenie, iż to jakaś na nią zmowa, umocniło się więcej skoro dostrzegła, iż powóz, zamiast wracać do zamku, będącego o parę staj, nawprost kościoła, kierował się w przeciwną stronę.

Obawa jej wszakże nie trwała długo — i w rzeczy trudnoby przypuścić, ażeby istotka z zimną krwią przystępująca do śmiertelnej walki z rozjusznem zwierzem, dała się wywieść w pole lub bezkar-

nie dmuchnąć sobie w kaszę pozwoliła; animusz odrazu wstąpił w młodziutką pierś szlachcianki.

— I cóż z tego, że są cudzoziemcami — powiedziała sobie — przecie ksiądz-stryja naucza, iż łacina jest kluczem porozumienia z całym światem, że wszystkie stosunki państwowe i prywatne odbywają się z obcymi w tej mowie.

Nie namyślając się przeto długo, przemówiła wcale śmiało, pewnym i stanowczym głosem po łacinie:

— Każcie ichmościowie natychmiast zatrzymać powóz, gdyż dłużej nie mam zamiaru towarzyszyć im w tej podróży, której cel mi niewiadomy.

Na tę jej mowę, dwoje z towarzyszy zaniósło się od głośnego śmiechu. Wszakże jedna z peruk, spoglądawszy na nią ze zdziwieniem wcale nie imperytynenckiem, z atencją odpowiedziała po łacinie, którą w umyśle osądziła Urszulka za równie dobrą, jaką była owa księdza stryja.

— Próżne są waszmość panny obawy — mówiła peruka — jedziemy przecie w szeregu innych powozów. Według zaś przyjętego zwyczaju, udajemy się za oblubieńcami do cerkwi, synagogi i na ratusz, gdzie lud ma powitać córkę dziedzica tych włości; my zaś z obowiązku drużbów towarzyszymy nowożeńcom... Jeżeli tedy waszmość panna jest zadowoloną z mojego wyjaśnienia, raczy zezwolić na za pytanie z mej strony, z jakiej racyi dla porozumienia się z rodakami uciekła się do wspaniałej Cyceronów i Horacyuszów mowy, którą bez pochlebstwa

powiadając, władasz waćpanna tak doskonale, jak mi dotąd u białogłowy słyszeć się nie zdarzało?

Trwoga na nowo opanowała Urszulkę, bowiem po głosie poznała Absalona, lecz widząc, że on jej dotąd nie poznawał, nadrobiała śmiałością i odpowiedziała już po polsku:

— Żarty waćpan sobie robisz z biednej dziewczyny, gdybyście bowiem ichmoście byli Polakami, jak ja, nie potrzebowalibyście porozumiewać się w obcej mowie, chyba, że między waszmościami jest cudzoziemiec?

— Uczyniłaś nam waszmość panna — prawil Absalon — jakby powiedzieć, w mowie dopiero przez nas użytej *argumentum ad hominem* przeciw tej francuczyźnie, która się u nas zagęszcza. A tu, jako żywo, wszyscy mamy zaszczyt być jej ziomkami i owoż submituję się — Felicyan Sołtyk, to zaś imćpaństwo podkomorzycostwo kijowscy, rodzeństwo nowożeńca.

Przy tych słowach wszyscy wymienieni pokłon jej oddali.

Odgadła instynktem dziewczyna, iż wypadalo się wywzajemnić i kłaniając się uprzejmie, wypowiedziała dobitnie:

— Urszula Glinczanka, porucznikówna petyhorska.

Odtąd dyskurs między współpodróżującymi stał się ogólny po polsku, wszyscy się ochoczo bawili. Że zaś rozmowa się zwróciła na łowy, opowiadano o sukcesach Absalona, czyli, jak teraz już Sołtyka, który sam splótl jakiś andron o bohaterskiem zwalczeniu największego odyńca, przez co jeszcze bardziej uspo-

koił Urszulkę, utwierdzając ją w tem przekonaniu, iż jej nie poznał.

Było to we zwyczaju, że gdy dziedzic żenił syna lub wydawał córkę, nowożeńcy od ślubu w towarzystwie weselnych gości udawali się do świątyń innych obrządków, w miastach na ratusz, a we wsiach na ekonomię, gdzie odbierali hołdy i gratulacye, w zamian których, wedle możności, sypali hojnemi datkami. Obecna poślubna wędrówka trwała dłużej nad inne, bo hołdujący w nadziei obfitszego zysku, przygotowali przeróżne niespodzianki. Sołtyk wcale się za to nie gniewał, upodobawszy sobie towarzystwo swej Rzymianki, a wszędzie, gdzie im przyszło wstępować, okazywał jej szczególną atencję, którą dziewczyna, acz nie płoża, przyjmowała jednak uprzejmie, z wrodzoną białogłowską zalotnością. Wszakże ile razy utkwiał w nią wzrok badawczy, dziewczyna doznawała konfuzyi i obawy, aby nie rozpoznał w niej owego myśliwego. Dalsza wędrówka odbyła się wesoło, a setnie ubawili się towarzysze i łaciną i miłą prostotą Urszulki.

Nim się odprawiły wszystkie ceremonie, a następnie gratulacye nowożeńców, na zamku zasiedli do obiadu ledwie około godziny dziewiątej wieczorem; przy poczesnym stole zasiadł ks. biskup, jako pierwszy dygnitarz, mając po obu stronach nowożeńców, dalej rodzice państwa, poważniejsze matrony i wedle zwyczaju, każdy družba przy swojej druchnie. Reszta gości umieściła się przy innych stołach, które aż w sześciu salach rozciągnięto.

Sołtyk z obowiązku — który wszakże nie wydał mu się uciążliwym — usiadł przy Urszulce, którą zrazu skonfundowało, iż się znajdowała zdala od swoich, w nieznannej imponującej kompanii. Lecz atencye i uprzejmość jej sąsiada coraz ją bardziej ośmielały, a jej niezrównana piękność i skromne wzięcie ogólne jej względy zjednały. Już w środku uczyty wcale się nie obawiała jego badawczych spojrzeń, będąc pewną, że ową przygodę łowiecką puścił w niepamięć, gdy wtem najniespodzianie sąsiad ją zagadnął w poważnym a niemal uroczystym tonie:

— Dziwna to jest zaprawdę — rzekł — iż przy tak niedawnem, jakkolwiek szacownem i miłem z waszmość panną poznaniu, mam dla jej rodziny żywy sentyment dozgonnej wdzięczności.

— Chyba żartujesz waćpan ze mnie, gdyż pewna jestem, żeś dotąd nie słyszał o naszej rodzinie, a może nawet i nazwisku... — odpowiedziała swobodnie, w tem przypuszczeniu, iż to był nowy żart kompana, usiłującego ją rozweselić.

— Nie ośmieliłbym się dopuszczać żartów z tak estymowanej osoby; wszakże pozwól waszmość-panna zapytać, czyli masz brata?

Splonęła Urszulka, domyślając się o co chodziło, wszakże nim się zebrała na jakąś odpowiedź, Sołtyk ciągnął dalej z żywością:

— Nie chciej mi waszmość panna negować, bo nie wątpię, iż eś o wszystkim zawiadomiona, jaką młodziutki brat jej wyrządził mi przysługę... Mało to jest nazwać przysługą, bo mi ocalił życie, kiedy

chybiłem do rozjuszonego dzika, którego pokonanie najniesłuszniej mi przypisują, ale postanawiam uczynić mu restytucyę, jako tryumfatorowi dzisiejszych łowów, a jako zbawcy życia, podziękować mu publicznie... Raczeń mi waszmość panna wskazać, gdzie mam szukać tego walecznego młodzieńca?...

Chociaż rozmowa odbywała się półgłosem, a do tego była zagłuszona dźwiękami kapeli, przygrywającej ucztownikom, jednak Urszulce zdawało się, że wszyscy to słyszeli i oczy na nią jedną zwrócili. Napół żywa z konfuzyi, modliła się nieboga w duchu, aby ziemia się zapadła i ją pochłoneła.

— Ale to może waszmość panu tak się wydało... — jąkała bezwiednie, aby cośkolwiek odpowiedzieć.

— Wybacz, mościa panno, iż śmiem jej kontrować, atoli tak jest rażącym podobieństwo braciszka do niej, nawet to małe rodzinne znamię na wardze jednakowe, jakbyście waćpaństwo byli bliźniętami. Powiem szczerze waćpannie, iż dzielnego to jest animuszu młodzian, możesz się waćpanna szczyścić jego braterstwem...

A zapalając się coraz bardziej, dodał:

— Zaprawdę, od kiedym żyw, nie widziałem, ażeby kto z taką abnegacyą, jak on, z narażeniem własnego bezpieczeństwa, szedł w obronie nieznanego sobie człeka! Jak Bóg na niebie, to jest istne bohaterstwo, które w zajęczem sercu nie zagości!

Nieboga milcząc siedziała, jak na torturach, obawiając się, aby kto tej rozmowy nie dosłyszał.

Ona przecież dobrowolnie zrzekła się tego lowieckiego tryumfu, postanowiła nawet przed swoimi nigdy nie wyjawić tej tajemnicy — i miałoż to wyjść na wierzch!?!...

— Nim miałem zaszczyt poznać waszmość pannę — ciągnął dalej Sołtyk — i skonstatować to niezaprzeczone podobieństwo, suponowałem, iż to był może który z myśliwych wuja kasztelana i miałem intencję pieniądze go nagrodzić, chociaż pomimo domniemanej nierówności stanu, jakby presentymentem wiedziony, uściskałem go po bratersku...

— Nie przeczę, że chłopczyna nieźle strzela, jak powiadają, i może tym strzałem waszmość panu stanął w przygodzie, ale czy warto o tem mówić... — przerwała mu Urszulka, zdobywając się na ten fortel w przewidywaniu grożącego niebezpieczeństwa.

— Jakto!... nie mam mówić o zbawcy życia!?!... — przerwał Sołtyk.

— Chłopiec uczy się jeszcze, wbiłby się w zbytętną dumę i... i... jeżeli przy pierwszej znajomości udzielisz mi waszmość łaskawie prawo zanieśienia supliki, to upraszam, abyśmy już o tem nie mówili... — z trudnością wyjąkała dziewczyna.

— Być posłusznym waszmość panie podwójnym jest moim obowiązkiem, raz dla miłej i niezapomnianej nigdy z nią znajomości, a powtóre—jako dla siostry mojego wybawcy. O jedno tylko i ja śmiem suplikować, abym go mógł poznać, obaczyć choć na krótki moment i wyrazić...

Glinkowie.

W tem miejscu przerwał mu mowę niesłychany hałas: wchodził do sali p. Borejko na czele kilkunastu strzelców, dmących fanfarę w rogi myśliwskie. Kasztelan trzymał w ręku piękny, złocisty roztruhan, na którym mistrz prawdziwy kształtnie wyrzeźbił rozmaite symbole i alegorye łowieckie. Jak wiadomo, puchar ten stanowił nagrodę dla każdego gościa, któryby onego dzika pokonał; dla prostych zaś myśliwych wyznaczone było 10 dukatów.

Za panem Borejką, dwóch hajduków, na ogromnej srebrnej tacy, dźwigało olbrzymią głowę dzika, zajuszoną i osmaloną, z kłami sterczącemi do walki, jakby dopiero z tułowiu uciętą, a tak straszną, iż płochliwsze niewiasty, na jej widok zakrywając oczy, krzyknęły z przerażenia. Wszelako był to tylko wytworny kunszt cukierniczy, zawczasu przygotowany w przewidywanym wypadku z odyńcem. Pan Borejko, uśmiechnięty i szczęśliwy, jak przy każdej krotchwili, które praktykować lubił, zmierzał z całym orszakiem ku Sołtykowi, przed którym złożono ów łeb straszny, uwieczony girlandami. Kasztelan wtedy, dawszy znak rogom, aby zamilkły, kazał z pełnego sobie nalać roztruhan i rozpoczął oracyę:

— Mnie wielce miły siostrzanie... *casus pascudeus*...

— Dozwólcie mnie, wielce szanowny wuju kasztelanie — przerwał Sołtyk — sprostować zaszłą omyłkę, gdyż ów tryumf i nagroda mnie nie należą...

— A komuż *casus pascudeus*, jeżeli nie wacpanu?... Przecież powaliłeś oną srogą bestyę — naj-

większego odyńca, jaki kiedykolwiek był w moich lasach... Według metryk mojego nadleśnego, ten potwór żył lat 22, a osaczony, wytrzymał 19 strzałów i to tylko te, które ugrzęzły w smolnej skorupie... a co się odbiły... tych nie liczę.

— Wszakże mości wuju dobrodzieju... — odparł Sołtyk — jam tyle winien śmierci tego dzika, co oto, przypuścimy, imćpanna moja sąsiadka, a może i ona więcej przez związki rodzinne — zakończył, schylając się przed Urszulką.

Spojrzał nieznacznie z pod oka na pomieszana Urszulkę kasztelan i do Sołtyka powiedział:

— Wyklarujże mi waćpan całą sprawę, bo nic a nic nie rozumiem.

— Raccie więc posłuchać — rozpoczął na cały głos Sołtyk — wypowiadam całą prawdę, gdyż obowiązek restytucyi ciąży mi na sumieniu.

Wszyscy zamilkli, a nawet z przyległych komnat ściągnęła kupka ciekawych, a Sołtyk opowiadał znaną nam przygodę, utaiwszy on wypadek *absalony* z peruką i tak zakończył:

— Jakiś dzielny młodzian, z widocznem narażeniem swojej całości, zabiegł zwierzowi drogę i celnymi strzałami, najprzód w jedno, potem w drugie oko, jakich w życiu nie widziałem, położył na miejscu rozjuszoną bestyę!

— Jakto i nie starałeś się waszmość poznać swego wybawcę, a przynajmniej czyliś go uściskał? — wtrącił pan Borejko.

— O!... uściskałem go serdecznie, przywróco-

ny przezeń do życia! Ale dziwny to, choć młodziutki człeczek, począł sobie wcale bez pretensyi, a chociaż sam jestem przekonany najmocniej, żem chybił, on mi tryumfu nie negował i nagle zemknął, a stał się powodem mojego łowieckiego kłamstwa, żem na się przyjął cudzy tryumf, za co przepraszam i niniejszem czynię publiczną restytucyę, komu należy...

— Ale komuż to?... Waćpan nie wiesz!...— spytał Borejko, poglądnąjąc znacząco na coraz bardziej pomieszana Urszulkę.

— Traf nieomylnego podobieństwa z imćpanną porucznikówną — prawil Sołtyk, ukazując na swoją sąsiadkę, która już ze stołu oczu nie podnosiła — wyklarował całą tajemnicę, iż moim mężnym wybawcą, czemu i ona nie zaprzecza, jest młodszy braciszek imćpanny porucznikówny.

— Ano proszę!... nie zaprzecza!... a to *casus pascudeus*, dzielny strzelec ten braciszek!... — wtrącił z ukrytym uśmiechem kasztelan, rad, iż mu się krotochwila nawijała. — A czemuż go waść nie starasz się poznać?

— Jako żywo, prosiłem o pośrednictwo w tej mierze jego zacnej imćpanny siostry, lecz nie raczyła się na to zgodzić...

— O!... patrzcie, jaka niedobra siostra, aby zarzeć bratu sławy!... Ano, to już ja będę twoim pośrednikiem, abyś dokonał należnej restytucyi; ale wprzód musisz wypić za jego zdrowie!... — rzekł kasztelan uśmiechnięty, podając pełny puhar Sołtykowi.

Ten, przyjmując, zwróciwszy się do ledwie żywej Urszulki, wypowiadał:

— Niechże przy tej sposobności wolno mi będzie spełnić ten kielich za pomyślność imćpanny siostry mojego szlachetnego wybawcy, przez podobieństwo której do brata, winę moją mogłem naprawić.

— Pijże asindziej i nie cackaj się, bo to *casus pascudeus* i wino może zastygnąć! — wtrącił pan Borejko, dając myśliwym znak do wykonania nowej fanfary.

Skoro Sołtyk wypił, Borejko, uciszywszy na nowo trębaczy, głos zabrał, naginając Sołtyka do kolan Urszulki:

— Teraz — mówił — proś waszmość na klęczkach imćpannę, aby raczyła wręczyć braciszкови tę tak dzielnie zasłużoną nagrodę...

— Proszę cię, moja doniu — prawil do Urszulki, przemocą wkładając puhar w jej drżące rączęta — wręcz go braciszкови, który tak dzielnie strzela, że oczy stworzeniom Bożym wybija i życzę ci z całej duszy, abyś tak celnie strzelała pięknemi oczętami, jak on z rusznicy. A co do ciebie, mości siostrzanie, toć powiem, iż w tem zamordowaniu dzika przez ciebie dojrzałem ci wprawdzie jakąś fabułę *casus pascudeus*, bom w oku bestyi dokumentnie poznał grankulki hiszpańskiego gardłacza, który niedawno mojej chrzestniaczce ofiarowałem, waść zaś miałeś w kniei tylko dziewierówkę, alem oponować nie śmiał, boby to było niedyplomacyjnie.

Tymczasem na ten hałas ściągnęła do pierwszej sali szlachta z innych stołów, a jeden z nich, miejscowy także Glinka z Glińska, dla którego kunszt łowiecki bliźniątek nie był tajemnicą, zawołał:

— A prosim i my też o puhar, wypijem na wiwat porucznikównie, boć to nasza krew, także Glinczanka z krwi i kości. Co tu długo mosanie gadać, niema na sto mil takiego, a jam go, mosanie, nie widział, któregoby ta dziewczyna nie przestrelała. Całe myśliwstwo pana kasztelana, skoro zajrzało w oczy tej bestyi, zaraz zawyrokowali, że to chyba ino porucznik albo jego córka Urszula, tak świntucha poczęstowali; ale że on znajdował się na drugim końcu lasu, o jaką godzinę drogi, to już nie chybi, że to Urszulka. Niechże nam żyje zdrowa, kiedy za młodu ludzi od śmierci wybawia.

— Wiwat, imć panna porucznikówna!... — sygnęły się głosy ze wszystkich końców.

Wrzawa się poczęła i huczek nielada, dzięki piwnicy kasztelana, która, jak twierdzą, łowiectwu jego nie ustępowała.

Podczas kiedy gromko wiwatowano, toczyło się krótkie *a parte* między kasztelanem, a Sołtykiem, który rzekł z cicha:

— Com ja uczynił, panie wuju, myśląc w istocie, że to chłopiec!... Z tego ferworu pocałowałem ją w oba policzki.

— A prawda, że świeża jak jagódka? — pocieszał kasztelan. — No... to niby *casus pascudeus*, ale

pewny jestem, żebyś to chętnie powtórzył, gdyby zezwoliła.

— Ale co gorsza, panie wuju, ośmieszyłem się przed kobietą, bo gdym uciekał od dzika, perukę zgubiłem i pokazałem się jej z goluteńką głową.

— Ot co to!... *casus pascudeus!* A nie mówiłem waćpanu, nie gól tego łba, jak pacjent od Bonifratrów i nie wdziewaj tego pudła!

— Daję na to parol, że skoro mi włosy odrosną, wezmę z pudłem rozbrat na zawsze.

Kiedy się wrzawa nieco uciszyła, jedna z poważnych matron, słuchająca opowiadania Sołtyka o jego niebezpieczeństwie i cudownem wyratowaniu z całą kompanią, i od czasu do czasu łzy ocierająca, powstawszy od stołu, zbliżyła się do Urszulki, a przyciskając ją do serca, rzekła ze łzami:

— Moje drogie dziecko, uratowałaś mi syna od widocznej śmierci, z narażeniem własnego życia! To czyn iście chrześcijański i bohaterski!... Bóg tylko mocen cię nagrodzić, o co Go błagać nigdy nie przestanę. Atoli, żebyć w pamięci stała gorąca wdzięczność matki pocieszonej, racz przyjąć tę małą pamiątkę.

Powiedziawszy to, zdjęła ze siebie naszyjnik i manele dyamentowe, chcąc je włożyć na Urszulkę.

— Miłościwa pani — odparła Urszulka, wzbraniając się od przyjęcia i przyciskając do ust rękę hojnej dawczyni — takie bogactwo nie dla mnie, dziękuję za chęć łaskawą. Pamiątkę zaś czynu tego, tak

zwyczajnego, któremu za wiele przyznają zasługi, zachowam do śmierci w Jej serdecznych słowach.

Zaraz na to z kupki huknęła szlachta gliška:

— Oho! mosanie znać zaraz Glinczankę!...

„Harda dusza w ubogiem ciele!...” Niech żyje porucznikówna i ojciec, co ją tak wychował — vivant!

— Co za gąska! Toć to przecie szlachecki posag w tych dyamentach — szepnęła oburzona chorążyna, stojąc przy bracie.

— Słyszałaś asindzka co szlachta mówi? Glinkowie jałmużny nie przyjmują — odparł porucznik surowo.

Pani Sołtykowa, skonfudowana tą niespodzianką nie przyjęcia tak hojnego daru przez ubogą panielkę, przystąpiła do porucznika, który na uboczu, wmieszany w kupkę szlachty, wszystkiemu się przypatrywał.

— Mości poruczniku — przemówiła doń uprzejmie — jako sam ojciec, pojdziesz snadno mój sentiment wdzięczności dla twej zacnej córki za tak heroiczne wybawienie mojego syna. Sam to przyznasz waszmość, iż takiemu szlachetnemu czynowi serce matki nie potrafi wynaleźć stosownego zawdzięczenia. Wszakże pragnęłabym, aby tę bagatelkę odemnie chciała zachować wasza miła córeczka, jako słabe przypomnienie ulgi sprawionej macierzyńskiemu sercu. Raczże się waszmość wstawić do córki o jej łaskawe zaakceptowanie.

— Moja mościa dobrodziejko — wypowiedział porucznik rubasznie i z prosta, jak to miał we zwy-

czaju — suponując, gdyby się pozycye zmieniły i synaczek jejmości spostrzegł moją córkę w podobnem niebezpieczeństwie z wystrzeloną rusznicą, a mając dwa naboje, nie przyszedł w pomoc, miałbym go za ba i bardzo. Gdyby zaś spełnił powinność chrześcijańską i ludzką, tak, jak to moja dziewczka uczyniła — (bo co prawda, gdyby postąpiła inaczej, tobym się jej wyparł!) — z duszy powiedziałbym wybawcy „Bóg zapłać“, ale nie dałbym mu żadnych dyamentów, boć się takie rzeczy nie oplacają. *Ergo* wybaczy mi jejmość dobrodziejka, iż pochwalam postępek mojej dziewczyny, która ograniczyła się na przyjęciu jej dobrych chęci.

— A to mi dopiero brat szlachcic co się zowie, to nie *casus pascudeus* mosanie! Podajcież mi tu rostruhan piastowski i hetmańską kapkę, na zapicie tej sprawy! — zawołał kasztelan, podsluchawszy alokucyi porucznika.

Ochota się bardziej wzmogła, bo rostruhan to był prawie półgarncowy, a wino przeszło stuletnie.

Między setnemi powinszowaniami, które srodze konfundowały Urszulkę, imć ksiądz biskup, przystąpił z temi słowy:

— Błogosławię cię, moja dziewczeczko, iżeś sobie zasłużyła łaskę Pańską, dającą ci moc ratowania bliźniego w ciężkich terminach.

To błogosławieństwo arcykapłana, przyjęte przez Urszulkę z religijnem rozrzewnieniem, było najcenniejszą nagrodą jej heroicznego czynu.

— Wasza ekscelencyo! — wmieszał się i w to

Borejko — raczcie pomówić z małą chrzestniaczką po łacinie, to mosanie, jak drugi Virgili.

Ks. biskup długo rozmawiał z nią tą mową i podziwiał jej erudycję.

Skromna dziewczyna ani się spodziała jakimi splendorem zajaśnieje na tym nowym świecie, do którego z taką obawą przystępowała.

Sołtyk, korzystając z tego zamieszana, zbliżył się do Urszulki.

— Jeżeli przed waszmość panną — powiadał z sentymentem — nie zginam powtórnie kolana, ku czemu mię niezmyślona chęć pociąga, to aby w obec tyłu świadków nie przyczyniać jej konfuzyi; atoli deklaram najsolemniej i pragnę z duszy ów afekt, jaki wynurzałem dla jej mniemanego braciszka a stokrotnie powiększony, przenieść na jego siostrę, rzeczywistą i wspaiałomyślną moją wybawczynię, i to życie któreś mi ocaliła, pozwól waszmość panna złożyć u nóg swoich na dozgonne usługi i pilne staranie o jej szczęście i pomyślność.

Urszulka na tę strzelistą apostrofę odpowiedziała tylko żywszym rumieńcem. Snać w prostocie ducha dziewczeczka nie pojęła donioślejszego tych słów znaczenia, a nie będąc z natury zalotną, poczytywała je za więcej jeden komplement światowego kawalera. Wszelako szept ów miłosny nie uszedł baczenia innych towarzyszek, a to tembardziej, iż wymawiały go usta światowego i bogatego kawalera, który dla magnackiej panny stanowił, jak dawniej nazywano: „dobrą kondycję“. Wogóle były im solą w oku bli-

źniątka, które tak wdziękami, jako łaciną i łowiec-
twem, całą uwagę na się towarzystwa zwróciły.

Lubo wiara nasza każe „miłować bliźniego, jak
siebie samego“, a maksymę tę każdy pobożny ugrun-
towywa przynajmniej parę razy na dzień przy pa-
cierzu, pomimo to jednak jakże jest pożądanem, przy
nadarzonej sposobności, dokuczyć temu bliźniemu,
a bardziej jeszcze tej bliźniej, poniżyć, ośmieszyć,
czy jak po prostu powiadają—podstawić nogę, szcze-
gólnie, kiedy chodzi o najzaciętszą między niewia-
stami „walkę o byt“ — małżeństwo.

Toż uknowały sobie spisek magnackie panny
przeciw Urszulce i jej siostram, nie mogąc im prze-
baczyć tego przodowania w towarzystwie. Wycze-
kiwały sposobnej pory do wywarcia swej zemsty,
a tą chwilą pożądaną miało być rychle rozpoczęcie
tańców.

Trzeba zaś wiedzieć, iż taniec ówczesny nie za-
leżał na dowolnem, nieregularnem kręceniu się tędy
owędy w polce lub galopadzie, albo niedbałem stą-
paniu w kadrylu. Taniec dawny, szczególnie na
pańskich salonach, zawierał w sobie całą filozofię:
boć należało pomagać i postawą i gestem, wykony-
wać trudne, napowietrzne skoki, w czasie peryodycz-
nym, jak i kiedy wskazywała muzyka. Niemal cy-
towano na palcach sławne tancerki w popisowych
tańcach ówczesnych, których była w użyciu moc nie-
zliczona: menuet, gawot, matlot, szal, bolero, fan-
dango i. t. p.

— Złapią się panny porucznikówny — myśla-

ły sobie litościwe bliźnie — na tej salonowej umiejętności, one, które pewnie skaczą sobie w swoim zaścianku „mazurki, krakowiaki“ i t. d.

Zwyczaj zaś chciał, ażeby na weselach nowożeńcy z sobą, a druźbowie z druchnami tańce rozpoczęli. Litościwe więc panie na poniżenie bliźniątek ukartowały, ażeby pierwszym tańcem nie był żaden ze swojskich, ale sarabanda, ulubiony taniec dworu francuskiego, który z innem małpiarstwem niedawno do nas przywędrował.

Już to głównie rzecz rozbijała się o Sołtyka, który świeżo zagranicą w tych się tańcach doskonalił, a do tego nosił się kuso, co do tych skoków było właściwem. Wypadało mu z swoją druchną tańce rozpocząć, żeby zaś jej nie przyczynić konfuzyi, chciał opłacić kapekę, ażeby coś swojskiego zagrała; ale że przy nowożeńcu była komenda tańcami, ten zaś pragnął ukartować maryaż swojej siostry z Sołtykiem, więc pochwycił tę okazję, by jej rywalce dokuczyć i zaordynował kapeli „sarabandę“...

— My, jako nowożeńcy z sobą, a druźbowie z sobą, proszę dokoła! — zawołał.

Obejrzeni się wszyscy, co z tego wyniknie, będąc pewni, że Sołtyk zaprosi inną druchną, imćpannę podkomorzanekę. Lecz jakież było zdziwienie, kiedy on stanął do koła z swoją piękną wybawicielką. Litościwe zaś *bliźnie* czekały kolei odwetu, namówiwszy kawalerów, aby wszystkie sześć sióstr do pierwszego tańca zaproszono. Biedny Sołtyk był w strasznych opalach i niepokoju o swą wybawicielkę, roz-

myślał tylko nad tem, jakby jej zręcznie podszeptywać figury i tańcem ją swoim naprowadzić.

Wyciągnęły się pary sznurem, każdy tancerz z tancerką naprzeciw siebie w pewnej odległości, dla swobodnego wykonania ruchów.

— Poczekajcie — szeptały pomiędzy sobą bliźnie — niebędzie tu szlachciankom z miodem.

Zwykle tancerz pierwszej pary oznajmiał figury i kroki, jakie wykonywać należało. Nowożeniec, także sławny tancerz, teraz przewodził. Zagrzmiała muzyka, a podkomorzyc komenderował:

— *Trois révérences, chassé, assemblé, jeté battue, pas de zéphyr, pas de pigeon, entrechat*, i t. d. Za każdym razem wszystkie oczy zwracały się na bliźniętka, inne zaś tanecznice, zapatrzone na oczekiwaną ich konfuzyę, niedbale wszystko wykonywały, ich zaś taniec dbały a zręczny szmer ogólnego podziwu wywołał.

Nie wiedziały antagonistki o jednym sekrecie, iż mistrzynią w tańcu bliźniętek była ciotka chorążyna, sama niegdyś pierwsza tanecznica na słynnym dworze wojewodziny Lubomirskiej.

Pomimo tedy wszelkich „podstawiań nóg“, zakrólowały na festynie porucznikówny: otaczali ich starsi, rozmawiając po łacinie, młodzi nie mogli się dość nacieszyć ich urodą, zręcznością i tańcem. Pani Sołtykowa krok w krok śledziła za wybawczynią swojego syna. Wybawiony zaś już nie miał oczu dla nikogo, tylko dla pięknej wybawicielki.

Nazajutrz nowe polowanie nowych im dostar-

czyło sukcesów. Za każdą porucznikówną stało po kilku z młodzieży, aby im służyć za strzelców do podawania i nabijania wystrzelonych rusznic. Słowem, kwaśno jakoś było magnatkom, iż pchane przez nie na dno bliźniętka wypływały na wierzch.

„Dawniej to każde wesele
Trwało najmniej trzy niedziele“ —

głosi stara pieśń. Trudno więc krok za krokiem śledzić te gody, które według dawnego zwyczaju, wlokły się długo, ku ucieście i tryumfowi bliźniętek.

Pani Sołtykowa, nim opuściła Pików, nie omieszkła razem z synem złożyć atencji porucznikowi. Urszulkę szczególnie polubiła, ze łzami nieraz cisnęła ją do serca; odjeżdżając zaś, wypowiedziała z afektem:

— Mości panie poruczniku, z nami nieskończone, bom ja debitorka waszej miłej, mężnej córy, która sprawiła to, iż dziś nie oplakuję straty pierworodnego syna. Niedosć więc, żem się stawiła z submisyą dla waszmości o małą milkę z Pikowa, ale umyślnie z dalekiej Ukrainy przybędę, aby wam mój sentyment i respekt okazać.

VII

Orlikowie.

Najdowało się w Glińsku jeszcze kilka rodzin podupadłych Glinków, ci już wprawdzie nie krewni, ale tylko stryjcowie herbowni pomiędzy sobą: wielu z nich zubożało do tyła, jak się to praktykowało w rozdrabianych wsiach szlacheckich, iż niekiedy kilku rodzonych braci lub dalszych krewnych na jednej sadybie chłopskiej siedziało; a nie różnili się oni od chłopów obyczajem, edukacją, ani wyobrażeniami. Szlachta to, acz jednego szczepu i derywacyi, ale dla lepszego odznaczenia, oddawna poprzybierali sobie rozmaite imioniska. Tak, jak znany nam porucznik miał przydomek Janczewski, była znów inna dzielnica Glinków-Orlikowskich, pospolicie Orlikami zwanych; z tymi wyjątkowo zostawał porucznik w stosunkach zażyłości. My też się z nimi poznamy.

Krótką jest historia domu Orlików, jak wielu innych szlacheckich w one czasy. *Pater familias* onej dzielnicy, imię pan Grzegorz Glinka Orlikowski, co do fortunki miał się niedawno równie dobrze, a może i lepiej od porucznika, piastował niegdyś urzęda

ziemskie regenta, pisarza, podsędka. Lecz czasu Konfederacyi Barskiej, kiedy miecz Temidy na Marsowy zamienił, jakoś się biedakowi noga powinęła. Wrócił nieborak z wojaczki bez ręki, okryty ranami, do domu opustoszałego, bez jedynej i gorliwej opieki towarzyski życia, która go opuściła z trwogi i tęsknoty za wojującym małżonkiem. Dwaj jego chłopcy, sieroty, wałęsali się na łasce ludzi. Majątek zaś przez zastawy i procesa oplątali tymczasem jurystowie, ta istna plaga w dawnej Polsce, która dała się we znaki szczególnie uboższej szlachcie.

Szczęściem było jeszcze dla p. Grzegorza, że jednocześnie wrócił z wojaczki porucznik, który dzielną a pocziwą dłonią ochraniał resztę fortunki jak mógł — aliści nie mógł wiele, bo już na znacznej części rozsiedli się zastawnicy. Chłopaków, jak sam umiał, kształcił w wojennem rzemiośle i łowiectwie, a gdy nastał na probostwo O. Honorat, zaprzął ich razem z bliźniętkami do alwara. Bacząc zaś na wiek męski i niewieści, różnica nie była tak wielką między pierwszą parą bliźniętek a chłopcami; trzy do czterech lat starszeństwa tych ostatnich, to przy różnicy płci rówieństwo. Od dzieciństwa więc razem się chowali; z początku chłopaki, Stach i Grześ, zwiłali łątki i kukielki dla kompanek; potem razem stawali do mustry i łowów pod komendą porucznika; następnie emulowali przy łacinie księdza stryja. Wprawdzie chłopakom trudniej szła ta emulacya książkowa, gdyż nietylko na ich głowach, ale i na ich rękach spoczywało mizerne gospodarstwo kilkonastmor-

gowe; sami panowie, sami słudzy, ciężko musieli pracować, aby na niczem nie zbywało ojcu-kalece, którego otaczali wzorową miłością synowską.

Wiem o tem z doświadczenia, iż źle wychodzą bazarze, bawiący się z czytelnikiem w ślepią babkę, gdyż on zazwyczaj sam odgadnie o co rzecz chodzi i zadrwi z mistycyzmu autora. Czy nie lepiej zatem prosto z mostu, powiedzieć rzecz ową, tak zresztą prawdopodobną, że obaj młodzi Orlikowie rozmiłowali się w starszej parze bliźniętek: Stach w Urszulce, a Grześ w Hance. Nie posądzaj znowu, czytelniku, iż tak się stać musiało dla dobrego toku powieści. Atoli rzecz tem się naturalniejszą przedstawia, że obie pary w całym „glińskim“ otoczeniu nie znalazłyby innego przedmiotu miłości, która z wiekiem obojga par stawała się na czasie.

Pan porucznik nie był krzyw na to; a bacząc na stateczność i usilną pracę Orlików, dozwalał rosnąć zobopólnemu afektowi, do czego nie mało się przyczyniła wzajemna miłość dwóch starszych sióstr pomiędzy sobą i pewna sympatya, często wrodzona bliźniętom, iż zawsze dzieliły jedne chęci, doznawały jednych wrażeń, nawet chorób, a rozdzielone na dłużej, tęskniły do siebie. Przekonał się o tem porucznik, bo kiedy po śmierci matki, Hanke wzięła na wychowanie bogata i bezdzietna krewna na Litwę, trzyletnie wówczas bliźniątka tak żywo zatęskniły do siebie, iż obie wpadły w jednaka ciężką chorobę, lekarze zaś zawyrokowali, iż to jest skutek tęsknoty

i że siostry w rozłączeniu żyćby nie mogły. Porucznik więc, mimo świetnie zapowiadającej się dla HANKI przyszłości, odebrał ją, narażając się na gniew bogatej krewnej i obie dziewczątka od pewnej uratował śmierci. Rad zatem był rodzącej się skłonności pomiędzy starszemi córkami i Orlikami, wiedział bowiem, że ci na szczupłym gospodarstwie nigdy się nie rozłączą i przeto odpowiedzą higienicznym warunkom życia bliźniątek.

To lubo nieme przyzwolenie ojca, pojęły obie pary rozmiłowane, a dając wolą rodzącemu się uczuciu, poczytywały się jakby połączonemi. Zresztą i tak się nigdy nie rozłączali ze sobą kochankowie, dziewczęta dotąd za granicę Glińska nie przekroczyły. Kościół był we wsi, knieja pod wioską, rozmiłowane chłopaki zawsze przy nich i czegóż miały szukać po za tym małym uroczym świątkiem? Innego prawie istnienia nie przypuszczały. Wprawdzie ciocia chorążyna, mieniająca Orlików prostakami, stawiała niekiedy rozmiłowanym parom wpoprzek drogi, Lecz owa mała przeciwność przyczyniała się jeszcze do wzmocnienia stałości.

Takby się to wlokło w spokoju przy błogiej nadziei, gdyby nie ono nieszczęsne wesele u kasztelana. Już sama myśl, że dziewczęta po za granicę wioski cichej wyrżą, iż zetkną się z pięknym, powabnym światem, zapewne ujrzą świetniejszych ludzi, niż oni prostaczkowie, napełniła Orlików trwogą. Najprzód podnieśli zamiar, wcale niewykonalny, namawiać dziewczęta do oporu wszechwładnej na on czas woli

ojca; gdy zaś to się okazało mniej politycznem, nasunęli myśl, aby siostry, doświadczające zawsze jednocześnie choroby, udały ją tym razem. Szczególniej Stach, zwawszy i gwałtowniejszej natury, obstawał przy tem.

— Ale czemu i my choć raz w życiu nie mamy wyjrzeć na świat, a zresztą ucieszyć się temi sławnemi łowami, boć z podobnemi, jak ojciec utrzymuje, może się nigdy nie spotkamy?

— Więc ty mnie zdradzasz? — mruknął zagniewany Stach.

— Daleko to jeszcze do zdrady. Przecie i małżeństwa, żyjącego zgodnie, bywają w kompaniach i bawią się, a z naszych zamysłów Bóg wie jeszcze co będzie!... — odparła biedna dziewczyna.

— Bo mnie nie miłujesz tak, jak ja ciebie — wtrącił młodzieniec.

— Nie dałam powodu do podejrzenia.

— A gdybyśmy zdeklarowali się ojcu? Na co to odwlekać...

Dziewczęta pokraśniały i zamilkły.

— Cóż ty na to Hanko? — spytał z kolei Grześ.

— Zapewne... jeżeli już na przyszłość ma przyjść do czego, to trzeba od tego zacząć — odparła Hanka jękając się, przy silnym rumieńcu.

Powzięli chłopcy mocne postanowienie, ale jakoś im się nie kleiło. Zaprawdę, można być mężnym i odważnym, iść na niedźwiedzia i dzika, w boju nie mrunąć do rusznicy przeciw sobie skierowanej; aliści są odwagi i odwagi, a wymówienie jednego pro-

stego słówka trudniej czasem się przesunie przez usta, niżli mowa sejmowa lub kazanie prostego wikarego wobec biskupa.

Nie było to jednak o tyle trudnem, ile się chłopakom wydawało. Porucznik bowiem był człek charakteru powolnego przy całej żołnierskiej punktualności, łagodny i wyrozumiały, dostępny dla wszystkich, a tembardziej dla Orlików, będąc im chętny już to przez pamięć na ich ojca, już z racyi ich statku i pracowitości. Wszakże zamiar Orlików możeby nigdy nie osiągnął skutku, gdyby nie ta okoliczność, że dziewcząt, zajętych igłą, razem z chorążyną, w przygotowaniach na festyn kasztelana, nie mógł odrywać do kniei i udał się na łowy z samymi tylko Orlikami. Ci zaś dołożyli starań, i jakoś im bożek miłości poszczęścił, iż łowy nadspodziewanie się powiodły. Każdy z nich, może dla ważności oczekiwanej chwili, lub z umysłu, pudłował, porucznik natłukł moc zwierzyny i był w doskonałej dyspozycyi. Skorzystali z tego chłopaki, a obcesowo, jakby z procy, padli do nóg porucznika:

— Hanka... Urszulka... — coś wybąkali, piąte przez dziesiąte.

Porucznik, że to był człekiemi szczerzej, żołnierskiej natury, a zwykle, mając to na języku, co i na myśli, podjął łaskawie chłopaków od kolan i prawil łagodnie, z sentymentem:

— Widząc ja, moje chłopaki, co się święci, smalicie cholewki do starszej pary i dziewczęta na was nie krzywe. Nie mam nic przeciw temu, bo z was

chłopcy nie ułamki, do pracy żwawi, byliście poczywymi synami, to już dobra speranda szczęścia na przyszłość; bo widziałem, jak to biedne ojczyisko, w momencie śmierci błogosławił was i dziękował Bogu, iż mu takich dał synów...

Na wspomnienie ojca, Orlikowie, rozrzewnieni, ucałowali rękę porucznika, a ten obu do serca przycisnął.

— Atoli zważcie sami, chłopaki — ciągnął dalej porucznik — iż, jak to powiadają, zła miłość o głodzie. Znam wasz stan majątkowy, bom przecie ratowałam, jak umiałem wasze sprawy, chociaż z temi jurami i dyabeł nie poradzi. Załedwie sami z wielką biedą wyżywicie się, a trzebaż pomyśleć, że z małżonką wchodzi więcej osób do domu, niż jedna... A jeżeli dziewczęta wzięły płodność po matce, to w kilka lat przybędzie was kilkanaścioro, więcej, niż chaćta pomieści, a gumno wyżywi... Ja, choć nie trwonię, ale z tej mojej mizeryi nic wam udzielić nie będę w stanie, sam jeszcze żyję, a prócz dzieci i siostra zruinowana na karku, tej zaś nie wypędzę...

— Będziemy pracowali... — przerwali nieśmiało Orlikowie.

— Znam was z tej strony, żeście pracowici, ale z piasku bicza nie ukęcisz... Poczekajcie jeszcze, spłaćcie jeszcze choć połowę zastawników, żeby było o co ręce zaczepić... Wiem, że to wam idzie oporem, że łatwiej wyrwać oset z korzeniem, niż jura się pozbyć, skoro wlaź na dobrą zastawę...

— Panie stryju, my się tymczasem postarzeje-

my, nim się pozbędziemy tych jurów — przemówił Stach śmielszej natury.

— A no to i dziewczęta będą starsze, nabędą więcej doświadczenia, mniej będzie dzieci — rzekł uśmiechnięty porucznik.

— My będziemy pracowali, a tymczasem ktoś dziewczęta zabierze! — znów ozwał się Stach.

— I to stać się może, jeżeli Bogu się tak podoba. Małżeństwo przecie to destynacya każdej biálogłowy, która się nie chce poświęcić życiu zakonnemu. Mam sześć dziewcząt, trudno, żebym im los zagradzał, jeżeli się coś statecznego trafi; ale szczerze to wypowiadam, że skoro da wam Bóg jako tako polepszyć sytuację, z chętnego serca wam pobłogosławię...

— O, panie stryju! ja bez Urszuli żyć nie mogę! — przerwał Stach zapalczywie.

— Chłopcze!... Bóg z tobą!... przeżegnaj się, a nie bluźnij — rzekł surowo porucznik. — Człek, jako istota cielesna, nie może się obyć bez jadła, a jako duchowa, bez wiary i czci. A z sentymentem to już, jak Bóg pokieruje, a rodzice zezwola, tak się i stanie... Pracujcie, jak dotąd, a nie obalamujcie sobie głów i dziewczętom, bo dobrze to starzy powiedzieli: „śmierć i żona od Boga przeznaczona“.

Tak mniej-więcej w ogólnikach skończyła się deklaracya Orlików. Za całą nadzieję pozostało im dotychczasowe odosobnienie dziewcząt.

— Parę lat da Bóg lepszych... może się nam powiezie? — pocieszali się młodzi.

Widmem jednak, trującym najpiękniejsze ich nadzieje, było wesele u Borejki. Oni także, jako myśliwi, odebrali inwitację. Stawili się do kniei, a następnie na pokoje. Warto bowiem zauważyć, że jeżeli w czem za dawnych czasów bywała równość prawdziwa, to w tem jedynie, iż sierak i baja ocierały się o karmazyny i złotogłowa, obok zaś aksamiatów i koronek, było miejsce dla syców i drelichu. Nie było dzisiejszego konwencyonalizmu, który już doszedł do tego „iż nie człowiek suknię, a suknia człowieka zdobi“... Wszakże czuli do siebie Orlikowie brak wykwiutnego wzięcia się, prostotę stroju, która do świetnych panów i pań bogato przybranych dostęp zagradzała. Cóż dopiero, jak dziewczęta stanęły do tańca, a zwróciły wszystkich oczy i zachwyty cały na swoje wabne i piękne osóбки... Robak zazdrości toczył serca biednych młodzieńców, którzy zdala tylko, w kupie szaraczkowej szlachty, mogli się przypatrzeć tym cudom. Wszelkie tryumfy Urszulki na weselu boleśnie Stachowi serce bodły.

— A któż ci tam kazał — mówił do Urszulki — z narażeniem własnem ratować tego gagatka od odyńca? A niechby drasnął tego kudłacza swoim zębkiem!

— A maszże ty, Stachu, Boga i miłość bliźniego w sercu, żeby tak powiadać? Każdy się przecie może znaleźć w takim niebezpieczeństwie.

Zaledwie przemieły te trwogi weselne, gdy nastąpiły nowe niepokoje przez odwiedziny pani

Sołtykowej z synem. U Stacha znów zawrzało w sercu.

— Urszulko — powiadał jej z ferworem — ty już chyba nie będziesz nigdy moją, boś zasmakowała w pańskich pokojach i ich spezie. Ten zaś panicz woniejący, w kurteczce i czupiradle na głowie, takie ci prawil dusery, na które ja, charłak, się nie zdobę.

— Czyś oszalał Stachu? Trudno przecie, żebym się przed ludźmi sromała i zakrywała łokciami, jak prosta chłopka. Ot, nagadali komplementów i odjechali, a kiedym ja przyrzekła być twoją, to już niczyją nie będę, chociażby przyszło w panieńskim stanie do śmierci dotrwać.

Tak samo i Hanka pocieszała Grzesia. I w istocie jakoś się wszystko uspokoiło, w dawne karby weszło: dziewczęta, jak dawniej, polowały z Orlikami, oni znów krwawo się pocili, ażeby zastawników wyrugować i co rychlej stanąć na ślubnym kobiercu.

VIII

Kiedy po kilku tygodniach weselnych godów uciszyło się i na zamku kasztelana sami swoi tylko pozostawali w rodzinnem kółku, młody Sołtyk zwierzał się przed wujem i matką.

— Szanowny wuju kasztelanie — mówił nieśmiało — setnież mi się nadaje porucznikówna Urszula.

— Nie neguję waszeci gustu. Boć to nie *casus pascudeus*, a dziewczka dobrego gniazda. Stary jest i znaczny ród Glinków, lubo ostatniemi czasy podupadły... A dziewczęta dobrze chowane, po Bożemu i rycersku, prawdziwie „do stroju i loju“.

— Pozwólcieź, panie wuju, uczynić waszmość-panu konfidencyę, iż życzyłbym sobie posunąć... posunąć...—tu się zająknał i w gardle mu jakoś zastygło.

— A jakież to *casus pascudeus* dławi waści? Chcesz mówić: „posunąć w kunkuły“? A i owszem, będę ci dziewczosłębem przed moją chrzestniaczką, jeśli tylko jejmość pani matka...

— I owszem, panie bracie — ozwała się imci pani Sołtykowa — dobry ród, dziewczyna skromna a szlachetna, już ujęła mię za serce przez samo od-

rzucenie mojego daru. Oby Bóg pobłogosławił imprezom mojego syna i przy waszej łaskawej interwencji...

— Śmiem tedy suplikować pan wuja — dokończył Sołtyk, całując kasztelana w ramię.

— Ależ powiedz mi chłopaku: jakże to taki *casus pascudeus*, z tym pudłem na głowie i w kurteczce, staniesz przed panną, co odyńcom oczy wyłupia? Wprzód, synku, niech podrośnie czupryna i wąs, a wtedy sprezentujemy się pannie po ludzku, ale nie jak *casus pascudeus*. Wtedy, da Bóg, może co z tego będzie i ja swatostwa nie odmówię.

Tak tedy, podczas gdy w Glińsku spokój i nadzieja zakwitły na nowo pomiędzy rozmiłowanemi parami, na dalekiej Ukrainie odrastały czupryna i wąs panu Sołtykowi.

W jakich więc parę miesięcy, czas mniej więcej wymagalny na porośnięcie gęstego włosa, imć pani Sołtykowa zjawiła się w Glińsku z synem. Ale z jakim synem? Wąs zawieszisty ozdabiał twarz całę piękną, o postawie wspaniałej, dostatni kontusz sajetowy na grodenapłowym żupanie dodawał statecznej powagi i prawdziwie męskiej prezetancyi, czupryna, z polska podgolona, siarczystego dodawała wyglądu. Ani poznała wybawicielka swojego wybawionego, tak się bowiem odmienił z gruntu.

Jakoż ten Sołtyk, z którym nam się należy bliżej poznać, nie należał do tych zapamiętałych wiercipiętów, jacy się wtedy kręcili po naszym świecie, zapominających, dla kusego stroju i zapamiętałej cu-

dzoiemskości, obowiązków dla kraju i społeczeństwa. Owszem, statecznym był i dobrym obywatelem. Za młodu tylko, ówczesnym zwyczajem magnackim, udawszy się dla kształcenia się zagranicę, wiele się tam nauczył. Z fantazyi przez nasładownictwo, strój obcy przybrał, który teraz w kwoi rozmówianiu w Urszulce, opuszcza.

Państwo Sołtykowie poprawszy locum standi w Pikowie, niemal co dnia odwiedzali w Glinisk. Chorażyna rada, iż w dawną sferę magnacką się przenosiła, kazała wystroić klawikord, koncypowała rozmaite tańce, assamble i niespodzianki, byle przynęcić kawalera, którego zamiary już się jawnymi stawały.

Zamącił się nanowo czasowy spokój Orlików.

— O! co teraz, to już źle koło nas bracie — utyskiwał starszy Orlik przed Grzesiem — bo póki był pudlem i małpą, nie tylem go się obawiał, ale teraz, kiedy do człowieka podobny, Urszulka spogląda nań milej. Mam ten trwożliwy presentyment, iż gotów mi dziewczkę zdmuchnąć, ale powiem ci bracie, że czy w kurcie, czy w żupanie, zje dyabła, nim przystąpi do Urszulki... Chyba po moim trupie.

— Ej, zanadto się gorączujesz bracie — uspakajał Grześ. — Czy to magnaci tak łakomi na nasze szlachcianki? Ot potańcuje z dziewczętami tych swoich niemieckich tańców i odjedzie, skąd przyjechał. A nam, byle Bóg poszczęścił spłacić choć cokolwiek zastawników, to staniemy na kobiercu. Znasz przecie stryja porucznika, że z gęby cholewy nie zrobi.

— Nie dzielam ja twego spokoju — obsta-
wał przy swoim Stach — a ręka mi swędzi zrobić
burdę temu natrętowi i naznaczyć go dobrze na py-
sku, żeby się pannie nie nastawiał.

— Zaniechaj tego zamiaru bracie — perswa-
dował młodszy — bo znasz, jako stryj porucznik jest
nieprzyjacielem zwad i burd; dopiero popsułbyś ca-
łą sprawę, w której dotąd nie widzę nic straconego.

Wszakże okazały się niepłonnemi obawy Sta-
cha. Razu pewnego przybyła pani Sołtykowa z ka-
sztelanem Borejka, a bez syna, który zawsze towa-
rzyszył matce w tych odwiedzinach; oboje państwo
wyglądali oficjalniej i solennie, przybyli w parad-
nej kolasie z orszakiem. Kasztelan w bramowanym
kontuszu, z czaplem piórem u sobolego kołpaka —
to już było nie bez kozery. Do tego nie pytali o pa-
nienki, czego nigdy nie omieszkła czynić pani Soł-
tykowa, wielka admiratorka dziewczątek, szczegól-
niej wybawczyni swojego syna. Tak wyglądały so-
lennie te odwiedziny. Chorążyna, wielka znawczyni
wielkich światowych konwenansów, udzieliła swych
kombinacyj zapłonionej i wielce strwożonej Ur-
szulce.

— Niedaremnie obserwowałem, że od rana
sroka skrzeczała na drzewie i do tego na lipie, a kot-
ka od dwóch dni się umywa; to już nie chybi
z oświadczynami przyjechali. Zmówże sobie aśćka
paciorek na sukces tej imprezy, przecież raz odże-
gnacie się od tych *chamów!* — tak pogardliwie nazy-
wała Orlików.

Tymczasem w gościennej izbie toczył się następny dyskurs, który zagaiła sama pani:

— Nim będę submitowała imć panu porucznikowi rzecz wielkiej wagi, która mnie tu sprowadza, poczytuję za stosowne powiadomić waszmość pana o mojej sytuacji majątkowej. Posiadam, jak wiadomo, po nieboszczyku mężu moim *jus comunicativum* *) na starostwo zwinogrodzkie, zaś samej kwarty do skarbu, dość skąpo likwidowanej, płacę przeszło 40 tysięcy złotych; krom tego posiadam ośm wiosek dziedzicznych, a jeżeli Bóg życia pozwoli...

— To jeszcze coś uciulasz, pani siostrze—przerwał niecierpliwie Borejko — a że Bóg pozwoli jestem tego pewny, bo siostra wyglądasz, jak pączek w maśle... Ale jak widzę, pani siostrze, *casus pascudeus*, mizdrzysz się do wdowczyka, imci pana porucznika i odbiegasz od celu, w którym tu przybyliśmy; a wybacz, żeć powiem, iż całą sprawę *casus pascudeus* indykujesz po babsku... Muszę asifidźkę wyreńczyć i prosto z mostu!... Otóż, mości poruczniku, syn imci pani starościny, Felicjan, a mój siostrzan, zapalał ognym, a gorącym afektem do waszej przezacnej córki, mnie zaś wielce miłej chrzestniaczki Urszuli i oto, krótko mówiąc, submitujemy się waszmość panu a bratu z supliką o zaakceptowanie dla niej tego ka-

*) *Jus comunicativum*, tak się nazywał przywilej królewski, nadający starościńskie dobra po śmierci starosty w dożywocie jego żonie. Wszakże starostwa grodowe i pograniczne temu prawu nie ulegały.

walera na dozgonnego towarzysza... *Dixi mosanie, casus pascudeus.*

— Zaszczyt to dla mego domu i dziewczki niepomiermy, który sobie wysoko nad wszelkie inne szacuje, ale...—rozpoczął porucznik zgięty we dwoje...

Borejko mu przerwał niecierpliwie.

— Co tam za „ale“, to *casus pascudeus*, a chłop dobrego rodu, nie ułomek, poczciwy, stateczny, a dla miłości panny zrzucił ze siebie pudła i kurtę niemiecką; substancya przyzwoita, z głodu nie pomrą, chociażby im Bóg dał dwa razy tyle bliźniąt, co jegomości. I ja, jako kawałek ojca Urszulki, daję z góry moją aprobatę... *Ergo* zamiast onego „ale“, każ waszmość dać wina i zapijemy tę sprawę.

Kasztelan znanym był z tego, iż każdą sprawę lubiał zapijać i to potężnym haustem. Kazał Glinka przynieść wino i kiedy Borejko był zajęty „zapijaniem sprawy“, zwrócił się do starościny.

— Jak się wyżej rzekło, mościa dobrodziejko, zaszczyt to wielki dla mnie i mojej dziewczki, i byłbym niewdzięcznym, a nazbyt zaufanym w miłosierdziu Bożem, gdybym do tak zaszczytnej deklaracji mojej „ale“, jak imćpan kasztelan wyraża, oponował. Wszelako jest ku temu przeszkoda, nie wynikająca z mojego widzimisie lub fantazyi, tylko z natury rzeczy i siły wyższego zrządzenia.

Tu opowiedziawszy znaną nam okoliczność, co do niemożności rozłączenia bliźniąt na czas dłuższy, zakończył:

— Racz więc tedy imćpani starościna mieć mie

za wyeksकुzowanego, iż tak zaszczytnej kolligacyi, a stąd jasnego splendoru, na mój ubogi dom spływającego, akceptować nie mogę. Atoli sama waszmość osądź, iż dla szczęścia jednej skazywać drugą, a może i obie na śmierć...

— A to *casus pascudeus*, mośanie! — przerwał od kieliszka Borejko! — Wszelako *est modus in rebus*. Pani siostra jest poczciwa i potulna kobiecina, muchy w życiu nie zabiła, nic więc nie będzie miała przeciw temu, aby się siostry nie rozłączyły i Hanka rezydowała przy Urszulce

— A!... mości kasztelanie — przerwał z wymówką porucznik — azaliż zwiesz to waszmość *modus in rebus*, poświęcać jedno dziecko dla drugiego i stawić je w pozycyi przeciwnej naturze i predestynacyi białejgłowy?... Czyliż dlatego, iż jedna będzie zażywała szczęścia w małżeńskim stanie, druga ma się dla niej morderkować w panieństwie?

— A więc afirmujesz waszmość, iż to nie jest *modus in rebus*? Ano więc *casus pascudeus*!... — zapijmyż tę sprawę ozwał się znów kasztelan od kieliszka.

— Mości poruczniku — ozwała się z powagą wdowa — jakkolwiek bolesną mi jest ta rekuza, atoli za złe mieć jej nie mogę, jako z ważnych racyi wypływającą... Zwyczajem jest, a zaprawdę niewczesnym, iż zerwane podobne układy osłabiają dobre relacye obydwóch stron; o jedno więc suplikiuję waszmości, niech to między nami nie zajdzie i niech ten dom pozostanie nadal dla nas przychylnym, a je-

zeli los nie zdarzył szczęścia mojemu synowi dzielić życie, z tą, która mu je wybawiła, pozostawcie nam wasze łaskawe względy i życzliwość.

— Mościa dobrodziejko!... zanadto cenię niezasłużoną łaskę i względy dla siebie i domu mojego, abym nie upraszał o ich dalsze zachowanie — wypowiedział porucznik, całując z galanterią rączkę niedoszłej swachy.

Tymczasem kasztelan dosączył reszty wina i rekuza wyjątkowo zakończyła się w dobrej komitywie.

Bytność ta, mająca solenne pozory, wielce zaniepokoiła tak starsze bliźniętka, jako i Orlików. Pozostawszy same, z obawą spoglądały dziewczęta ojcu w oczy, czyli im czego stanowczego nie zwiastuje i dzień cały przeszedł im w ciężkiej turbacji.

Uspokoily się dopiero rozmiłowane pary, kiedy nazajutrz zjawił się starość nadzwyczaj ceremonialny i poważny. Oświadczył, iż przybywa z pożegnaniem, gdyż nieprzewidziane sprawy majątkowe wymagają rychłego jego powrotu do domu. Matka zaś jego, jako trochę niedysponowana, czas jakiś w Pikowie miała bawić. Nadto ponury był, bez zwykłego humoru i animuszu. Nie wyrzekł „do widzenia“, czasu powrotu nie oznaczył, a krótko zabawiwszy, odjechał.

— Niezawodnie ojciec dał mu rekuzę — zakonkludowały rozmiłowane pary i nanowo spokój w nie wstąpił.

Atoli spokój to był niedługi i nagle zjawiła się

chmura na sentymentalnym horyzoncie, w postaci imćpana starościca Ignacego Sołtyka, który razem z bratem Felicyanem przybywał. Ignacy o rok starszy od brata, ale odmiennego był usposobienia; zażywny, dzielny chłopak, nie posiadał wielkoświatowych popędów młodszego i kiedy ten uczył się i wojażował, on, siedząc na roli, pilnował gospodarstwa. Był to nie panicz, a raczej brat szlachcic zagonowy, któremu z oczu patrzyło, iżby się po niemiecku nie przebrał. Jego rubaszny i otwarty charakter bardziej się nadawał do prostych i skromnych usposobień mieszkańców Glińska.

Czyli z gotowym zamiarem przybywał, czy też mu przypadła Hanka do gustu?—trudno powiedzieć: od razu jednak, obcesowo posunął w konkury, mniej wzdychał, więcej bawił dziewczęta. Myśliwy zawołany, znał wiele arkanów łowieckich, polował z dziewczętami, śmiał się na całe gardło. Orlików nawetby rozruszał, gdyby zazdrość miłosna nie leżała im na sercu.

I Grześ z kolei sposepniał. a zwierzał się bratu:

— Słuchaj-no Stachu — coś mię kułak swędzi do natarcia temu szlachcicowi uszu.

— A teraz ja ci powiem — mitygował Stach:— zanadto się gorączujesz bracie, trzeba mi było nie przeszkadzać, póki był jeden. Z kolei ja ci powiem, że stryj porucznik burd nie lubi. Poczekajmy jeszcze, nic tak straszego niema, a gdy co do czego

przyjdzie, to już spuść się na mnie, że dziewczek nam nie zabiorą.

Tymczasem we dworku porucznika widocznie coś się ważnego kartowało, bowiem, prócz codziennych gości starościców, przybywali kasztelan ze starościną i o czymś z porucznikiem konferowali. Pewnego dnia we dworku czyniono ważne przygotowania, jakby na Wielkanoc. Myto podłogi, niszczoano pajęczyny, okadzano bursztynem, zdjęto pokrowce ze sprzętów i zwierciadeł — słowem coś się ważnego gotowało. Nazajutrz od rana dom przybrał aspekt świąteczny. Porucznik przyodział kontusz sajetowy, atłasowy żupan, czapkę z czaplem piórem i karabełę od gości przypasał. Chorążyna mściławska, przetrząsły swoje kufry, sama się stroiła i starszą parę bliźniąt ze szczególniejszem staraniem; a gdy drżące i trapione smutnym presentymentem, pytały ciotki o powód tej solenności, odpowiadała tajemniczo:

— Ja nie wiem, tak ojciec kazał.

Około południa już wszystko było gotowe, a sam porucznik chodził niecierpliwie, zaglądając na gości-niec, to z ganku, to z okien. Inni mieszkańcy Glińska widząc, iż coś się tam niezwykłego we dworku święci, zaglądali ciekawie przez częstokół. Jakoż niebawem na gościńcu ukazała się liczna kawalkata, jakby wojsko jakie, aż się cisi mieszkańcy wioski przezrazili, bo od kiedy żywi, nie widzieli w swoim zaciszu takiej chmary ludzi i koni. Myśleli zrazu, iż może popod wsią przeciągną, ale się setnie zadziwili.

kiedy orszak prosto posunął do dworka porucznika, którego szczupły dziedziczyk zaledwie mógł pomieścić tak wielu ludzi.

Myśleli, iż to pospolite ruszenie, gdyż słyhać było, że już uniwersały na wojnę wydano, a to tylko po prostu przybywał kasztelan Borejko, ze starości-
ną Sołtykową; każde z nich z wielką prozopopeją, w osobnej paradnej kolasie, z otoczeniem jezdnych dworzan w świątecznych strojach. Dalej dwaj starościcowie, każdy w swej poszóstnej karocy od złota, z forysiami w paradnej liberyi, przy nich zbrojne kozaki, boć to byli ukraińscy panowie.

Porucznik z chorążyną, powitawszy gości nizkimi pokłonami, do wnętrza domu ich wprowadzili. Iż rzecz to była zawczasu umówiona między stronami, co do deklaracyi dwóch starościców o porucznikówny starsze, a chodziło tylko o dopełnienie ceremoniału, którego dawniejsi ludzie ściśle przestrzegali, więc skoro weszli do gościnnej izby, kasztelan, jako swat urzędowy, wszakże niebiegły w krasomówstwie, wybąknął mówkę *pro forma*, na którą porucznik także zwięzle odpowiedział, wypowiadając dawno już wiadome przyzwolenie.

— Stokrotnie dziękując w imieniu imćpani starościny zwinogrodzkiej, a wielce nam miłej siostry, i we własnem jako swata — prawil Borejko — suplikujemy o asentymant nadobnych cór waszmości, który i przezacnym kawalerom pilno jest z ust nadobnych bogdanek usłyszeć... A nadto... *casus pascu-*

deus... bez onej pożądanej konkluzyi sprawa się dokumentnie nie zalewa, a jak wiadomo, czas jest drogi.

Usłużna chorążyna, znając już te zwyczaje ob-rzędowe, wymknęła się cichaczem do alkierza, gdzie bliźniątka, postrojone w kwiaty, jak owieczki ofiarne, wyczekiwały fatalnego momentu, który już dla nich nie był tajemnicą. Nie pytając więc ciotki, poszły za nią potulne, ledwie żywe.

Wszedłszy do komnaty, machinalnie, jak ma-rynetki, uczyniły dyg kompanii i stanęły drżące i blade, wyglądając prędzej na kandydatki do trumny, niżli do ślubnego wianka.

Z porządku rzeczy, wedle ceremoniału, od ojca zależało teraz wypowiedzenie swej woli etc. Lecz biedny porucznik, widząc ciężką alteracyę córek, mimowoli przywiódł na myśl wspólny ich afekt z Orlikami, których sam, jak synów miłował; markotno mu się tedy na sercu zrobiło, tak, iż nie miał mocy wy-głosić biedaczkom już ferowanego rodzicielskiego wyroku.

Lecz Borejko, który w trakcie tego, zajrzawszy sobie prywatnie do flaszki, już nieco *zalał* sprawę, pierwszy przerwał to kłopotliwe milczenie, a zbliżywszy się do dziewcząt z poufałością starca i ojca chrzestnego, gładząc je po pięknych, wybladłych twarzyczkach, perorował:

— A co, moje córeczki, *casus pascudeus*, przyszła kreska na Matyska... A mówiłem, że nie trzeba bałamucić chłopców, — owóz teraz macie.

To mówiąc, posunął starszego starościca ku Ursulce, a młodszego ku Hance.

— Moje dzieci! — przerwał gościowi poważnie ojciec, nie rad, iż tak ważna sprawa zanadto krótkochwilny obrót przyjmuje — moje dzieci... za łaską Bożą i wolą moją, oddaję was, jako dozgonne towarzyski, imćpanom starościcom zwinogrodzkim i z całego serca ojcowskiego błogosławię was na ten nowy a stanowczy krok w życiu, prosząc Boga Wszchemogącego, aby zlał na was łaskę i miłosierdzie.

Starościcowie pochylili się do kolan porucznika, który podnosząc ich, szczerze uściskał.

Bliźniętka tymczasem stały, jak martwe, próżno im chorążyna dawała rozmaite znaki, których nie dostrzegały; zatem popchnąwszy je, do nóg starościnie pochyliła. Matrona szczerze i serdecznie tuliła dziewczątka do piersi, a przez łzy i rozrzewnienie, słowa przemówić nie mogła.

Z kolei Borejko doczekał się upragnionego *zalan*ia sprawy, a chcąc rozweselić zasumowaną kompanię, zawołał:

— A dajciż acaństwo folgę tym sentymentom, bo to *casus pascudeus*. Zawsze to lepiej wlewać niż wylewać, ot miasto tych łez, zapijmy sprawę za zdrowie podwójnych oblubieńców... W czepku się zaiste rodziłeś, mości poruczniku, bo nie ma to, jak bliźnięta. Ot naprzykład i teraz jednym strzałem ubiłeś dwa ptaszki, a ja miałem już sześć wesel w domu... Zły to porządek na świecie z temi podwikami, czemu to po dziesięć naraz na świat nie

przychodzi, mniejby było zachodu, wszystkiebym za-
mąż wydał na jednym weselu.

Porucznik w trakcie tego skinął na pachołka, a odwiązawszy klucz od pasa, coś mu poszeptał, ten zaś wkrótce wniósł bardzo poważną flaszę, z której gdy nalano panu Borejce, on zaś rozsmakował i huknął:

— A to już nie *casus pascudeus*, mosanie! Na zdrowie oblubieńców, aby dobrane pary żyły z sobą w dobrej komitywie tak długo, ile lat liczy ów sekt z tym gąsiorem... Już lepiej, Bóg świadkiem, życzyć nie można.

Przez ten czas pani starościna cieszyła się przyszłemi niewiastkami. Dziewczęta, raczej martwe niż żywe, w roztargnieniu przyjmując te pieszczoty, deliberowały w myśli o Orlikach, o ich rozpacz, o tem zresztą, jakby im wiary nie złamać, a wydobyć się z tych nowych, narzuconych przemocą więzów. Starościna, składając tę obojętność na karb konfuzji i nieśmiałości, nie ustawała w przymyleniach.

— Moja miła Urszulko — ozwała się w końcu — teraz spodziewam się, nie pogardzisz tą skromną pamiątką, która od dnia heroicznego twego czynu i powrócenia mi syna, do ciebie należeć winna.

To mówiąc, stroiła dziewczynę w znane nam dyamenty z łowów kasztelana. Urszulka jeszcze się od tego wzbraniać chciała, lecz widząc to, ojciec powiedział:

— Jako od przyszłej, da Bóg doczekać, pani

matki, przyjąć należy i podziękować za łaskawe względy.

Z obojętną tedy pokorą ucałowała rękę hojnej dawczyni, która tymczasem dobywając z woreczka równie piękne klejnoty, Hankę w nie przystroiła.

Rozpoczynała się uczta, zawczasu już przygotowana. Weszły młodsze siostry i dworzanie szlachta, przybyli z kawalkatą. Młodzież popisywała się w tańcu przy dźwiękach klawikordu chorążyny. Była napozór ochota, wszakże oblubienice, tańcząc automatycznie, jak nakręcone maryonетки, spoglądały na drzwi, azali nie wejdą Orlikowie, po których, przy każdej większej okazji, porucznik posłać nie zaniedbywał. Lecz teraz, zapomniani, snuli się między gawiedzią pod oknami, a przypatrując się wszystkiemu, od czasu do czasu konwulsyjnie ściskali furdymenta szabelek.

Chorążyna, uszczęśliwiona, że na nowo otwiera się przed nią koligacya z magnackim dworem, nie posiadała się z radości, a ile razy dopadła na uboczu dziewcząt, postrojonych w bogate dary, nie omieszkała szepnąć:

— Same powiedzcie panmy, czy nie lepiej to z panami? Na początek macie takie hojne dary, jakimi ucieszyłaby się każda hetmanówna lub wojewodzianka. Toć przecie nie pięciogroszowy medalik z odpustu od tych waszych nieokrzesanych Orlików...

— Pewno, że nie — odparła zaperzona Urszul-

ka — za setkę takich dyamentów nie mieniałabym Stachowego medalika.

— Ja też Grzesiowego — dodała Hanka.

— Ej, głupie wy gąski, moje panny, niech ino się pokręcicie na wielkim świecie, będziecie widowały porządniejszych pajuków, niż te chamy Orliki.

Zaledwie o brzasku dziennym Borejko, dolewając sprawy strzeziennym, zagadnął porucznika:

— A teraz, mości poruczniku, ażeby się rozmiłowane pary nie mortyfikowały, raczcież im naznaczyć nie oddalony termin zaślubin, o co suplikują przez moje niegodne usta tak imćpani starościna, jak i oblubieńcowie...

— Acz każde *desiderium* szanownych waszmość państwa poczytuję sobie za ordynans — odparł porucznik z respektem — wszelako sam, mości kasztelanie, dałeś mi relację, iż agitujący się Sejm już wojnę uchwalił i lada dzień uniwersałów spodziewać się mamy, azaliż to czas przystojny do odbywania godów, które *volens nolens* należy odłożyć na terminą pokojowe...

Biednym bliźniętkom mowa ojca poleciała strapione serduszka, gdy wtem przerwał oburzony Borejko:

— A za jakież to *casus pascudeus* poczytujesz nas poruczniku, abyśmy czasu wojny doma usiedzieli, uczty wyprawując? Przecie i twoi przyszli zięciowie już się zaregestrowali do wojska... i my też, starzy, nie zostaniem za piecem. Owóż tak to ukartowaliśmy

z imćpanią siostrą, ażeby *remotis arbitris*, bez wyprawowania godów, cichym ślubem połączyć oblubieńców; poczem nowożeńcy, przygasiwszy na czas pochodnie Hymenu, rozpalą marsowe pociski. Młode zaś mężateczki, razem z siostrami i imćpanią chorążyną, schronią się na ten czas burzliwy w zamku jejmości starościńskim, gdzie i bezpieczniej, boć tu się prawdopodobnie *teatrum* wojny przeniesie. *Ergo et haec facienda et illa non omittenda*, można służyć Kupidynowi i Bellonie, co nie jest *casus pascudeus*, a w oczekiwaniu ferowania dekretu waszmości w tej materyi, zalewam tę sprawę...

Po krótkim rozmyśle stanęło na tem, jak ukarował kasztelan, a ku większej mortyfikacyi bliźniątek, zbliżyła się fatalna chwila stanowczego rozłączenia z Orlikami.

IX

Po wyjeździe gości, już o dobrem świtanu, porucznik ze sajetowego kontusza przedzierzgnawszy się w podróżną kapotę, natychmiast puścił się do miasta, wzięwszy z sobą siostrę, imćpanią chorążynę, bowiem należało o jakiej takiej wyprawce, wedle staniku, dla córek pomyśleć, a siła zakupów poczynić na gody, mające się odbyć za sześć tygodni.

Czyli trzeba powiadać, iż zaledwie turkot porucznikowego wózka zagłuchł za wiejskim kołowrotem, kiedy obie siostry z Orlikami, ni stąd ni zowąd, znalazły się w pobliskim lasku na małej polance, gdzie zazwyczaj w chwilach wolnych siadywali sobie we czworo, na zwalonym a mchem obrosłym dębie, używając rozkoszy odosobnienia. Chociaż, jako niby braciom a siostróm, nikt im dowolnie spotykać się nie bronił, jednak, iż osamotnienie często posiada swój urok w pewnych warunkach życia, więc go szukali, wcale jednak bez zdrożnych zamysłów.

Teraz z upragnieniem siostry wyczekiwały tego momentu, który zdawał się odwlekać całe wieki. Mało byłoby im skrzydeł, aby pospieszyć na ulubione miejsce, lecz wlokły się obecnie niebożęta żółtym

krokiem, ze spuszczonei główkami, jak delikwentki na stracenie.

Już zdala dojrzały Orlików, siedzących na zwalonym dębie, który był dla nich tronem miłości. Ci zaś, dostrzegłszy zbliżenia sióstr, jęli się pewnego rodzaju dyplomacyi — jeden coś niby pilnie majstrował około flinty, drugi zatopiony był w wiązaniu sieci, której koniec na poblizkim krzaku umocował.

Dziewczętom wszakże na widok dzielnych ulubieńców sporzej uderzyły serduszka, a zabaczywszy obawy, ręczo podbiegły do siedzących, nawołując zdala serdecznie srebrnemi głosikami:

— A przecie!... Stach! Grześ!...

Obadwaj chłopcy powstali poważnie, z jakąwąś już uprzednio obmyśloną rewerencyą.

— Do usług imćpań starościcowych! — wypowiedzieli z emfazą.

Na to niespodziane wystąpienie, Hanka, czulszej dyspozycyi, czyli, jakby dziś powiedziano, słabszych nerwów, wybuchnęła głośnym, dziecinnym płaczem.

— Co to za komedye wyprawiacie, Stachu?... — rzekła prawie surowo Urszulka.

— Nas chudopacholków nie stać na *teatrum* do wyprawowania komedyi, takowe się odegrały wczoraj na *dworze imćpana porucznika* — odparł Stach szorstko, kładąc nacisk na ostatnie wyrazy.

— Kiedy tak i wy jeszcze urągacie naszej biedzie, to bywajcie zdrowi... pójdziem stąd Hanko! —

wypowiedziała gniewnie Urszulka, siłąc się na pohamowanie rzewności w głosie, która się mimowoli przedzierała, a wzięwszy siostrę za rękę, pociągnęła ją w przeciwną stronę.

— Urszulko!... Hanko!... — wołali Orlikowie z przerażeniem, goniąc za nimi, aż zabiegli im drogę.

Co prawda, siostry nie wysiłały się na szybkość...

— Puście nas — przemawiała niby gniewnie Urszulka — nie mamy co tu robić, albowiem urągacie, zamiast nas pocieszać w frasunku.

— A piękny mi zaprawdę frasunek!—podchwycił drwiąco Stach. — Imćpanna już od kawalera przyjmuje prezenta, a jak mi powiadał karbowy Jan, który wino nalewał, takie to kosztowne kleyonty, iż cały Glińsk możnaby za nie kupić.

— Weźże je waćpan sobie i kup Glińsk, a mnie daj święty spokój—zawołała Urszulka nadobre rozdąsana, odpychając Stacha i odchodząc nie na żarty.

On wszakże zastępował jej drogę.

— Więc powiadasz, nie przyjęłaś?... A pfe, mościa panno być taką wykrętną i nieszczerą, kiedym sam widział przez okno, na własne oczy, żeś cały wieczór płaśała w dyamentach z tymi gagatkami — i powiadasz, że nie przyjęłaś?

— A cóż miałam czynić biedna? Wsadzili na mnie te obrzydłe dyamenty, jak obrożę na psa, ojciec zaś kazał przyjąć...

— Tak!... jeżeli ojciec każe, tak samo przy-

miesz starościca i powiesz go sobie na szyi — przewał Stach, zapłonawszy gniewem. — Ale niedoczekanie jego!... Ja mu na miazgę potłukę te dyamenty na łbie, na którym niedawno jeszcze pudła nosił i bądź pewna, że prędzej mu zaśpiewają *requiem*, niżli *veni Creator* z waćpanną. To już, jakem szlachcic, powiadam!...

— Chodź Grześ — zwrócił się do brata — weźmiem serpentyny, a porozbijamy tym trutniom łby z kretešem... Tylkoż spieszymy, bo oni, słyszę dziś wyjeżdżają z Pikowa... Pilno im usłać sobie gniazdko z jejmościankami, a ja im wprzódy grób wykopię.

Grześ wszakże nie słyszał tej braterskiej odgrózki, będąc zajęty na uboczu ważnym dyskursem z Hanką, która ukradkiem łzy ocierała.

Urszulka zaś z dumą i sentymentem przyjmując ów ferwor miłośny Stacha, wtrącała łagodnie, mierząc chłopaka czułem spojrzeniem:

— A cóż ci z tego przyjdzie, gdy im grób wykopiesz?

— A to ich tam złożę i waćpanna nie obronisz już przede mną swego adonisa, jak niegdyś przed odyńcem... Jakiś to zły duch poniósł ciebie na drogę tego perfumowanego gagatka; gdybym to był przeczuł, wysmarowałbym ci rurę od flinty łojem, niechby go tam świntuch poszarpał!... Ale co teraz śmiało już możesz strugać krzyżyk na mogiłę twego dyamentowego kawalera, bo że go płatnę, to płatnę setnie, jak amen w pacierzu!

— I sąd weźmie ci gardło za meżobójstwo, jak zeszłego roku Rozembowskiemu — zakończyła Urszulka.

— Niech sobie bierze, mniejsza z tem...

— A ja? — rzewnym głosem spytała Urszulka.

— A ty? — smutnem echem zawtórował Stach i mimowoli stanął, jak wkopany. — A ty? — powtórzył — jam cię miłował nad życie, takżeś mi wiary dochowała?

— A w czymże cię zdradziłam?

— Jeszcze pytasz, przyjąwszy deklarację tego kawalera?

— Alboż przyjąłam?

— I jeszcze się zapierasz?—rzekł Stach z oburzeniem.

— Boć to święta prawda. Zawołano nas z Hanką, wystrojone jak kukły przez ciotkę chorążynę... imćpan kasztelan, już po *zalanej sprawie*, wybełkotał deklarację od starościców, ojciec w krótkich słowach przyjął... pani starościna wycalowała nas, oblewając łzami i nikt nas o nic nie pytał.

— Pomimo to można było samej powiedzieć...

— Dobrze to tobie mówić pod dębem, ale jak tu było głos podnosić wobec ojca i tak licznej kompanii?

— Więc lepiej było przyjąć starościca z dyamentami? — przerwał Stach, wracając do poprzedniej ironii.

— Słuchaj, Stachu, ty mnie znasz, żem nie jest płochliwą, a niełatwo się ulęknę; ale są rzeczy, któ-

rych po niewieście wymagać niepodobna... Skoro jednak tego nie chcesz rozumieć, a czepiasz się jakiejś złości, której nie zasłużyłam, to i ja tych twoich przekasów dłużej znosić nie myślę... Ostań więc z Bogiem, niech ci los szczęści, a ja pójdę za wolą ojca i mojem przeznaczeniem.

Wypowiedziawszy to stanowczo i energicznie, Urszulka oddaliła się szybkim krokiem, a widocznie bez zamiaru powrotu.

— Moja miła, moja jedyna! — wołał Stach już rzewnym i spokorniałym głosem, zabiegając jej drogę. — Wybacz mi, miej wzgląd na mój afekt, który mi zmysły pomieszał. Ale Bóg mi świadkiem, że bez ciebie wyżyć nie zdołam, a poświęciłbym moją egzystencję, żeby twoją dolę osłodzić.

— Więc dlatego, aby moje życie osłodzić, chcesz się stać mężobójcą i dać głowę pod miecz katowski?

— Stokroć to wolę, niżli widzieć cię żoną innego.

— Jeszcze nią przecie nie jestem, a jeżeli już innej rady nie będzie, wtedy trzeba się oglądać na Boga i prawo.

— Więc, moja najmilsza, moja jedyna, powiadasz, iż jest rada? A jaka?... O mów, mów?

— Ojciec jest dobry, na was wielce łaskaw, a tyle razy przyrzekał, że skoro spłacicie o tyle o ile zastawników...

— Tak to jest — przerwał Stach z goryczą —

ależ nam biednym jakoś wszystko idzie oporem!... Kiedy my tych zastawników spłacimy! Tymczasem stryj zmienił intencję, a raz postanowiwszy, nie cofnie danego słowa, szczególnie wobec tak możnych swatów, jak pan kasztelan.

— Kto tam wie, nie traćmy nadziei — uspakała Urszulka; — bywają przykłady, że i od ołtarza rozchodzą się, jak niedawno stolnikówna braclawska.

— O, droga Urszulko!... tyś panią jest mojego serca, jam twój niewolnik! — zawołał młodzieniec w uniesieniu.

A potem odeszli w stronę, swobodnie szeptali, uśmiechali się, jak tamta para i dopiero zachodzące słońce, pod rygorem przyzwoitości, zmusiło obie rozmiłowane pary do odwrotu.

Cały tydzień niebytności porucznika przemknął, jak jedna chwila, wesoło i swobodnie rozmówanym parom. Zapomniały dziewczęta, iż były narzeczonymi, tak im się pięknie uśmiechała nadzieja zerwania nienawistnych węzłów.

Tymczasem we czworo uknuli spisek na porucznika, zamierzając, jak przedtem, uderzyć w jego słabą stronę... łowów. Orliki z dziewczętami przebiegali rozmaite knieje, tropili zwierzynę, ażeby porucznik, stęskniony do łowów, miał cię czem ucieszyć za powrotem. Udało im się szczęśliwie wytropić w sąsiednim lesie łosia, który naówczas stanowił rzadkość w tych stronach. Strzegli go, jak oka w głowie do powrotu porucznika, który rad do łowów stanął.

lając się. — Ja myślałem, że jako zdrow dotąd już gdzieś daleko oprzesz się z Hanką, a ty takie maśło maślane, ślęczysz tu przy mnie niepotrzebnie, kiedy sam bez ciebie przyszedłbym do zdrowia... Skoro pozdrowię, bądź pewny, że nie dopuszczę zaślubin tej jaszczurki, wysiekę, wybije, spale! — zakończył, pieniać się ze złości.

— Bóg z tobą bracie, ja nie pojmuję takiego afektu, który się przeradza w nieszlachetne uczucia gwałtu i zemsty...

— A jakież ty, smarkaty, afekt pojmujesz? — wybuchnął Stach gniewnie.

— Miłować całe życie dla niej samej...

— I widzieć ją w uściskach głupiego starości-
ca! — zakończył Stach pogardliwie.

— Ot, wiesz co, bracie? — mitygował Grześ.— Siła ci w rękę z każdym dniem powraca, reszty dokonają ruch i świeże powietrze, ja zaś dwiema silnemi dłońmi będę za ciebie pracował; czasby nam wyruszyć do obozu.

— Idź sobie sam. Ja kaleka, do wojaczki nie zdatny — zbywał go Stach obojętnie.

Często się powtarzały podobne pomiędzy braćmi rozmowy: Stach nalegał na Grzesia, aby sam wyruszał, widocznie chcąc się go pozbyć. Łagodny Grześ, uzbrojony w cierpliwość, wyczekiwał z rezygnacją; jakoż w sam dzień przybycia starościców na weselne gody, zdziwił się wchodząc do izby i za-

stając brata, który jedną zdrową ręką broń opatrywał i energicznie gotował się do wyprawy.

— Ano Grześ, czas na wyprawę — ozwał się rażno.

— I owszem, choćby zaraz — rzekł Grześ uradowany tą niespodzianą zmianą — chociażby zaraz wyruszajmy. Jakoż wielki czas, bo powiadają ludzie, że wojna lada dzień się zacznie; że zaś ty, biedaku, jeszcze dotąd o jednym ręku, więc odpoczywaj sobie, a ja się zajmę przygotowaniem.

— Niema się co bardzo gotować, bo wyprawa niedaleka — odparł Stach ponuro.

— Zaprawdę, że do obozu niedaleko, ale kto tam wie, dokąd wojna może zaprowadzić?...

— Głupiś z twoją wojną... Czy nie rozumiesz, że to wyprawa na Sołtyków?

— Bóg z tobą bracie! — zawołał przerażony Stach.

— Czy Bóg, czy szatan, to mi wszystko jedno, ale to wiem, iż pókim żyw, z tego wesela płacz komuś zrobię!

— Opamiętaj się bracie, co zamyślasz?

— Już to obmyślane, że muszę dostać jej i jego, jeżeli nie żywych, to przynajmniej ich trupy, a tobie oddam twoją Hankę, gruchajcie sobie w pokoj... Mnie trzeba zemsty! Co tam długo gadać. my się od dzieciństwa nie rozłączamy, a jam starszy, więc rozkazuję: gotuj się i kwita! Do wieczora skombinuję, jak sobie mamy poczynać.

Grześ zamilkł, jakby oniemiał z przestracchu. Stach, poczytując rzecz całą za postanowioną, zajął się czynnie opatrywaniem broni.

— Powiedz sam bracie — przerwał milczenie— czyli możemy inaczej poczynać, czylibyś chciał oddać Hankę innemu? Powiedz, cobyś zrobił na mojem miejscu?

— Bracie—ozwał się Grześ łagodnie—wracam z kościoła, wysłuchałem Mszy na intencję nowożeńców...

— To idźże jeszcze zaśpiewać im *Veni Creator*, kiedy ci się spodoba, a ja sam pójdę — przerwał Stach, kipiąc gniewem.

— Pójdiesz — zawołał z mocą Grześ, pozbywając się dotychczasowej apatyi — pójdiesz, aby okryć pocziwie imię hańbą, aby cię pojmano, jako złoczyńcę i gardło wzięto. Sołtykowie przybyli w licznym orszaku, mają ze sobą kupkę szlachty i ze 30 zbrojnych kozaków, pochwyca cię, nim do kogo przystąpisz. Nie bracie, ty nie pójdiesz.

— A któż mi zabroni? — spytał Stach szyderczo.

— Ja!... — odparł Grześ z mocą.

— Ty niezdaro, modlący się na intencję tej, która cię zdradza?...

— Jak jest, to jest, ale przejdiesz chyba do dworku poruczniku po moim trupie.

— Jakiem prawem ty mnie, starszemu, dajesz admonicę?

— Jako człowiek przy zdrowych zmysłach kieruje utracającym rozum — odparł Grześ z determinacją.

— A jeżeli cię zabiję?

— To i owszem, bo mi życie niemiłe. Zresztą nie będziesz za to odpowiadał przed prawem, bo ja krzyknąć i bronić się nie będę. Ludzie zaś, znając nas dotąd zgodnymi, przypiszą to wypadkowi i za bratobójstwo nie będą cię karali. Widok zaś mojego trupa rozbroi cię i powstrzyma tej zbrodni napadu i gwałtu.

Wymówił to Grześ z taką stanowczością, iż Stach, nie znajdując na nią repliki, sapał gniewny i przemierzał gorączkowym krokiem szczupłą izdebkę. Znow zapanowało dłuższe milczenie, które Stach przerwał:

— Prawda twoja, bracie — mówił smutnie — iż *vana sine viribus ira* (próżny gniew bezsilnego), ale i to prawda: „co się przewlecze, to nie uciecze“; dostanę cię jeszcze w moje ręce, pani starościcowo zwinogrodzka, a wtedy pomówimy!... Ano, Grzesiu, gotuj się, dziś wyruszamy do obozu!...

Zbytecznem byłoby powiadać, jako Grześ wszystkie przygotowania do wyprawy przyśpieszał. Z nastaniem nocy, bracia Orlikowie wyruszyli w drogę. Pochód to był nie wesoły, gdyż obaj pozostawiali za sobą młodzieńcze aspiracje i afekt zawiedziony.

— Hej bracie! — ozwał się Stach, smutno po-

trząsając głową — czy to tak jeżdżą młodzi na pierwszą wojnę? My raczej do grabarzy, niż do rycerzy, podobni? Ot, co sprawiły te płochy, niegodziwe podwiki, ale Bóg da, że się w moje ręce kiedyś ona dostanie!

— Nie bluźnij bracie, nie wzywaj chrześcijańskiego Boga do zemsty, która jest dziełem pogańskim.

Nie ujechali Orlikowie i połowy drogi do obozu, o dziesięć mil oddalonego, kiedy we dworku porucznika, z nastaniem brzasku dziennego, rozpoczęto gody weselne. Wesele dawnych czasów!... teżby się zdawał bogaty materiał opisowy. Lecz jako żywo, tu działa się inaczej i niezawodnie zgorszyliby się dawni ludzie na tę powagę i ponurość tutejszych godów, których nawet swat kasztelan nie ożywił „zalanem sprawy“, gdyż nieborak pan Borejko morderkował się na łożu boleści w pierwszym ataku podagry, prawdopodobnie będącej następstwem owego „zalewania“... Wszakże cichość ta godów posiadała ważne swe racje: już to najprzód czas mającej się rychło rozpocząć wojny, na którą sami panowie młodzi, spędziwszy już nie miesiąc, ale tydzień tylko miodowy z młodemi małżonkami, udać się zamierzali.

A więc tedy przy Prymaryi, Ojciec Honorat pobłogosławił związek obu par. Poczem nastąpiła skromna uczta — i jeszcze dobrze przed południem, zatoczyły się kolasy i kolebki państwa młodych i ba-

sztarda chorążyny. Porucznik siadł na koń na czele orszaku glińskiej szlachty — wszyscy, przeżegnani krzyżem i pokropieni wodą święconą przez Ojca Honorata, wyruszyli, każdy w swoją drogę.

Dworek porucznika stanął pustką.

XII

Znaną jest w dziejach naszych krótką, lecz żartową wojną roku 1792. Wszakże, kreśląc tu mały „obrazek z natury“, ale nie powieść historyczną, nie wdaję się w jej szczegółowy opis, a zaznaczę to tylko, co dotyczy naszych bohaterów, zgromadzonych, jak wiemy, w jednym obozie.

Porucznik Glinka, jako dawny, wypróbowany żołnierz, miał sobie powierzoną komendę osobnej kompanii, z posunięciem do rangi majora — rangi bowiem, tego czasu wojennego, przy braku uzdolnionych oficerów, snadno się zdobywały. W jego oddziale pomieściła się szlachta glińska, oraz inna zaciężna, tudzież jego zięciowie Sołtykowie w stopniu subalternów oficerów, który wprawdzie, jako magnatom, dostał im się przez pocztę sowity, ale nie przez osobiste zasługi. Wszakże teraz, po odbyciu tygodnia miodowego z młodemi małżonkami, stawić się nie omieszkali na terminie przy chorągwi.

Orlikowie, jak nam wiadomo, poszli przodem. Grześ, silniejszy o całe jedno ramię i spokojny umysł, odzyskał nad Stachem prawa starszeństwa. On rzą-

dził całą wyprawą i skoro już stanęli na miejscu, dopytał się o rozmaite kompanie, ażeby czasem na komendę stryja nie trafić, a przy nim i na starościców; obawiał się bowiem tego zbliżenia, bacząc na kipiącą zemstę w duszy brata. Udało mu się zarejestrować do innej kompanii, kwaterującej o mil parę od komendy porucznika — czyli już teraz majora.

Obaj Orlikowie byli cennym nabytkiem dla wojska, bo odważni i wyćwiczeni w robieniu bronią, wszędzie szli na pierwszy ogień, z dziwną abnegacją, życiem nie ważąc. Obaj milczący, ponurego usposobienia, nie dzielili obozowej wesołości i zabaw czasu wytchnienia. Za to w ogniu pierwsi, ostatni schodzili z placu. Bili się, jak desperaci, jak ludzie gardzący życiem. Stach, nie odzyskawszy całkiem władzy w lewej ręce, zwieszał ją zawsze na temblaku. Wszakże jednym ramieniem tak się dzielnie posługiwał, iż gdzie się *jednoreki* (tak go nazwano) ukazał, siał popłoch w nieprzyjacielskich szeregach, a otuchę między swoich. Nad niego nie znano odważniejszego w obozie. Sam książę, wódz naczelny, z pomiędzy wielu go wyróżniał i po kilku pierwszych potyczkach, szlifą oficerską dystygował.

Pomimo bohaterskiej waleczności, wyszli bracia cało ze wszystkich dotąd, zaciętych bitew, aż do ostatniej już prawie pod Dubienką, a zjadliwszej i krwawszej nad inne. Orlikowie, swoim zwyczajem, nie zeszli do końca z pola i już po skończonej bitwie, zapędzili się we dwóch za rejterującym nie-

przyjacielem. Uchodzący żołnierz nie stawał już pierś w pierś, a cofając się, tylko odstrzeliwał na chybił trafił. Kula, naoślep puszczone, przeszła mężne serce Grzesia. Zachwiał się raniony, Stach go pochwycił w ramiona; lecz on go ujął konwulsyjnie za szyję, wyszeptał zaledwie dosłyszalnym, zamierającym głosem:

— Bracie!... na miłość Boga, na afekt braterski, zaklinam... poniechaj zemsty...

Już reszty nie domówił — i biedny Stach, całkiem osierocony, na ziemi pozostał.

Stało się już to po skończonej bitwie; wkrótce rozejm obustronny ogłoszono, dla uprzątnięcia rannych i grzebania poległych. Stach, dostrzegłszy jakiegoś ciurę obozowego, który dla zdobycia łupu pierwszy się na pobożowisko podkradał, zabrał go do pomocy, aby gdzieś w ustroniu dół dla brata wykopać i za jego pomocą drogie te zwłoki oddał ziemi, na której sam sierotą pozostawał. Nim złożył do mogiły drogie szczątki, wpił się długim pocałunkiem w sine, zakrzepłe usta, a wznosząc ręce ku niebu, z uroczystą rozpaczą zawołał:

— Przysięgam ci, drogi bracie, na wszystko najświętsze, iż będziesz pomszczony!

Nim z pomocą ciury zasypali mogiłę, a jeszcze Stach kazał mu swoim pałaszem krzyż jaki taki, dla lepszej poznaki, wystrugać, już się miało ku północy. Stach odchodził smutny, posepny, z ciężkim bólem w sercu, nie wiedząc, dokąd dąży. Ciura szedł za nim

przez puste pobojowisko, klnąc w duchu, że oficer, zmusiwszy go do nieprzewidzianej roboty, pozbawił zarobku, gdyż go tymczasem kamraci uprzedzili. Rannionych uprządnięto, a trupów odartych z cenniejszych przedmiotów, na pół nagich, złożono na kupkę do jutrzejszego pogrzebu. Szyldwach, postawiony przy trupach, umknął ze strachu. Przechodząc około tej kupki, zastanowił się ciura na dolatujące stamtąd jęki; ciekawość go popchnęła w stronę, skąd jęk dochodził:

— Panie oficerze — ozwał się z respektem — jakby jegomość byli łaskawi, pomóźdz mi dźwignąć tego rannego.

— A co ci po nim? — odparł obojętnie Stach.

— Moźnaby grosz jakiś zarobić, a mnie biednemu, zajętemu jegomością robotą, nic się dziś nie dostało; uprzedzili mnie tamci ładaco — submitował się ciura.

— Skądże ci się co dostanie? — pytał Stach.

— A to widzi jegomość, ten, co to jęczy między trupami, jest bogaty pan starościc.

— Jaki starościc?

— Ano nasz starościc, bo ja starościński, ze Zwinogródka, starszy nasz panicz...

Stach mimowoli zadrżał na te słowa, ciura ciągnął dalej:

— Szukają go już cały dzień, myśleli, że się dostał do niewoli, nawet do tamtego obozu mieli już posłać parlamentarzy z wykupem, ale durnie prześle-

pili ranionego i między trupów złożyli... Biedne panisko ma w boku głęboką ranę, bez pomocy zamrze za jaką godzinę; gdyby to jegomość byli łaskawi, odrobinę mi dopomogli...

— Daj mi tam pokój, rękę mam chorą, a jeszcze ją zmordował przy kopaniu dołu — rzekł Stach, tając radość, jaka go przejmowała.

— Ej! panie oficerze, toż tak niedaleko do namiotu chirurga, za jakie dwa pacierze dojdziemy, a ja, biedny charłak, zarobiłbym jakiś grosik dla żony i dzieci, bo to dobry pan, a nie skapy.

— Niech ginie!... to początek mojej zemsty, gdyż po bitwie nieprędko kto nadejdzie, a sam ciura nie da rady, tymczasem... — pomyślał Stach, zacierając ręce z szatańską radością.

— Żebyście ino jegomość trocha głowę podtrzymali, ja całą wagą nóg się uczepię, a przy pomocy Bożej, dodźwigamy; może też kto się po drodze nawinie... Żal byłoby prawdziwie dać zginąć takiemu dobremu panu. Bóg miłosierny nagrodzi jegomości ten chrześcijański uczynek, boć to grzech pozostawiać człeka na widoczną zgubę — molestował ciura.

Stach pomyślał chwilę... a może mu żal w sercu zawitał?

— Dobrze, spróbuję — rzekł po chwili.

Poczem, ująwszy ranionego pod pachy, dopomagał ciurze do dźwigania ciężaru. Skoro uszli kęs drogi, a księżyc, z po za chmur wychylony, oświecił twarz ranionego, rzekł uradowany ciura:

— Patrzajcie jegomość, już oddech ma swobodniejszy, oczy mu się otwierają...

Stach mimowoli spojrział w tę twarz bladą, nieawistną sobie i okropne myśli zakrażyły mu w głowie. Zazdrość żądłem gadziny bodła go w serce.

— On wyzdrowieje... Urszulka pięknymi ustami będzie całowała to blade oblicze, tulić się będzie do rozkosznego łona, odżywiać czystym tchnieniem—szeptał mu zły duch. — A mój biedny Grześ w zimnej ziemi!...

— Widzicie jegomość — ozwał się ciura — tam, na tym pagórku światełko, za jakie dobre pół pacierza, doniesiemy, a da Bóg miłosierny, panisko będzie żył. Nasz chirurg mądry, to go odchucha, wiedząc, że dobrze zapłaca.

— On będzie żył, a mój biedny Grześ, idący przez nich na jawną śmierć, ziemię gryzie!... — zakłuło Stachowi w głębi serca.

Tuż, tuż, dochodzili do obozu, już gwar i głosy zdala ich dolatywały, gdy wtem Stach, wznosząc wyżej ranionego, rozstawił gwałtownie ręce i głowa z głuchym łoskotem padła na ziemię.

— Oj! — zajęczał Stach, chwytając się za rękę — widzisz, coś narobił, biorąc mnie za pomocnika; nagle mi się rana otworzyła i ręce omdlały — mówił do ciury, wewnątrz zaś coś mu się szatańsko uśmiechnęło.

— O dobry Jezu! — lamentował ciura, chwyciwszy się za głowę — Boże odpuść, zgubiłem duszę

ludzka i cały mój zarobek przepadł!... Trzebaż mi było słuchać jegomości, a nie dufając waszej chorej ręce, pobiedz do obozu po silniejszą pomoc... Niechże tu jegomość z łaski postoją momencik przy ranionym, a chowaj Boże, może już i nieboszczyku. ja skoczę do obozu po ludzi i nosze.

Ciura pobiegł.

Stał długo Orlik nad ranionym, szarpany sprzecznymi uczuciami, aż widząc zbliżającą się kupę ludzi ze światłem, ukrył się po za drzewami. Między przybywającymi, znajdował się chirurg wojskowy, który przychyliwszy się nad ranionym, zwrócił się do kupki, wyczekującej z niepokojem wyroku:

— Już nie żyje — wyrzekł z obojętnością, cechującą lekarzy wśród bitew.

Brat zmarłego z jękiem boleści rzucił się na ciało.

— Biedna Urszulka! — wyrzekł z westchnieniem major.

— A mój brat? — szepnął Stach, zgrzytając zębami. — Otóż tobie gody, mościa starościcowo!

XIV

Ostatni zajazd.

Czas wielki zajrzeć do świeżo uwiniętego gniazdka Hymenu. Ów tydzień miodowy, u boku naderbnych małżonek, minał starościcom, jak błyskawica; niezawodnie chętnieby go przedłużyli, lecz, że obaj liczyli się w chorągwi, trzeba było pośpieszać pod groźbą infamii, wojna bowiem lada dzień rozpocząć się miała. Dworno, jako magnaci, wybrali się do obozu, z luzakami, jucznemi końmi, na czele kompanijki uboższej szlachty, którą sami sztyftowali własnym sumptem.

Pomimo nazbyt krótkiego pożycia, rozstanie małżonków było czułe, rzewne niemal — bowiem młodym mężatkom, mimo niezabliźnionych ran miłosnych, przez Orlików zadanych, uśmiechnęło się mile to nowe, nieznanne życie, otoczone powabami dobrobytu i zbytku.

Urszulka zresztą, zrażona gwałtownem postąpieniem Stacha, które ją zmusiło do tragicznego oporu, uczuwszy doń rankor nieprzejednany, snadno

przyłgnęła do młodego małżonka, ceniącego w niej nie tylko miłą towarzyszkę, ale i wybawczynię życia z ciężkich terminów, a ujęta jego gorącym sentymentem, zapomniała o dawnych, dzieciennych miłościach.

Hanka, tkliwszej natury, może podczas coś marzyła, jak w mgle, o Grzesiu, oddając mu sprawiedliwość, iż on do gwałtów brata czynnej ręki nie przyłożył.

Atoli dawny stosunek siostr z Orlikami wstąpił w fazę choroby młodości, po której przebyciu, zdrowie mocniejsze powraca.

Zaprawdę do onej miłości dziewiczej najlepiej się stosuje przysłowie — „co z oczu, to z myśli“, inaczej nie byłoby szczęścia i jedności w małżeńskich stadłach; któraż to bowiem dziewczyna, opierzywszy się nieco, nie goni za jakimś ideałem, tak snadno zacierającym się w przyszłości poczuciem i spełnieniem wielkiego zadania małżeństwa? Tak i tu się stało i gdyby młode mężatki nie pojmowały, jako szlachcianki, honorowego obowiązku, który starościców wyrwał od hymenowych słodyczy, siłą uściśków zatrzymałyby młodych małżonków przy sobie. Atoli ulegając konieczności, spłakały się rzewnie przy rozstaniu i tyle.

Starościcowe, pozostawszy na zamku ze świerką, ujrzały, iż jeżeli co się zmieniło dotąd w ich położeniu, to chyba na lepsze. Wszystkie sześć siostr znajdowały się w komplecie z ciotką chorażyną, która nie posiadała się z radości, iż powróciła do dawne-

go pałacowego życie, do którego wzdychała. Jeżeli czuły tęsknotę za ojcem, to sobie mogły wyperswadować, że tak, czy owak, on stary żołnierz nie osiedlałby się doma czasu wojennego. Żal zaś po miejscu rodzinnem słodzić sobie mogły tem, iż z ciasnego zapadłego dworku, weszły do obszernego zamku i olśniły się nieznanym sobie dotąd przepychem i blaskiem bogactwa, które niemało próżności białogłowskiej schlebiają.

Starostwo zwinogrodzkie było jedno z zyskowniejszych, bo w żyznej ukraińskiej glebie liczyło 29 wsi i 2 miasteczka, jedno z tych, Kalneblota, stanowiące rezydencję starostów, posiadało zamek obszerny drewniany, obwarowany fosą i pałisadami; zamczysko wprawdzie stare, za ponure może na zewnątrz, ale za to wewnątrz opatrzone we wszelki sprzęt wygodny, nawet zbyt kowny, który teraz, z okazji podwójnych zaślubin, zwiększono i odświeżono. A zresztą rozweselał tę miejscowość piękny, obszerny wirydarz, przecięty dwoma, acz niewielkimi, ale bystremi rzeczulkami, Kalnobłotką i Tykiczem. Nadto dwór liczny, krom przeróżnej służby, mieszczący wielu rezydentów i rezydentek; gwarno tam zawsze i szumno bywało.

Największą wszakże pociechą w ostmotnieniu młodych małżonek była świekra, pani starościana, która mimo lat podeszłych, zachowała słodczy charakteru i żywość młodzieńczą. Polubiwszy serdecznie obie synowe, stała się ich towarzyszką, a nie

szczędziła starań i zabiegów, aby im życie uprzyjemnić. Lubo starała się nie czynić między siostrami różnicy, jednak bardziej ją serce pociągało do Urszulki, jako wybawczyni jej syna faworyta, z narażeniem własnego życia. Znając gust bliźniątek do łowów, nietylko, jak się spodziewała światowa dama, chorążyna, nie hamowała w nich tej pasyi, ale owszem podsycala ją, zwiększyła i bez tego liczne myśliwstwo nieboszczyka starosty, obdarowała synowe doskonałą bronią i wykwiłtnemi męskimi strojami: toż i młodsze siostry, jak własne córki miłowała.

Wcale nie mortyfikowały się bez mężów bliźniątka; bo chociaż zaniosło się na wojnę zaciętą i kto żyw a silny za broń chwycił, jednak pozostały w okolicy białogłowy, ludzie starzy lub do wojowania nie zdolni i zamek roił się gośćmi bez ustanku, tak, że na tęsknotę do małżonków nie wiele pozostawało czasu. Wszakże chciwie chwymano wieści z pola bitwy, radoowano się sławą zwycięskiego oręża, niekiedy i zasumowano się niepowodzeniem, słowem, jak mogli, słodzili oczekiwanie nieobecnych.

Tymczasem trzeci miesiąc się począł słomianego wdowieństwa bliźniątek, a żadna wieść pewniejsza z pola bitwy nie nadchodziła. Nieregularne ówczesne poczty, a do tego kraj ten cały nieprzyjacielskiem wojskiem zajęty, szerzeniu pewnych wieści przeszkadzały. Świekra tedy z synowemi cieszyła, jak mogła, trwożliwą niepewność, kiedy w trzecim mie-

siącu gruchnęła pogłoska o odwołaniu wojsk do Warszawy i o dłuższym rozejmie. Z większym więc niepokojem i niecierpliwością wyczekiwały powrotu swoich, który nadto się zatrwajając przewlekał.

W trakcie tego nowy, niespodziany frasunek spadł na osamotnione niewiasty: imćpan generał artylerji koronnej, Szczęsny Potocki, zapozwał panią starościnę Sołtykową, aby na mocy jakiegoś przedawnionego wyroku, jeszcze niegdy przez ojca generała wojewodę kijowskiego uzyskanego, ustąpiła z Kalnychbłot i takowe, razem z kilkoma przyległemi wsiami, w jego posiadanie do państwa humańskiego oddała. Sprawa to była nielegalna i już przez samą preskrypcyę umorzona, gdyż jeszcze przed dwudziestu laty, za życia starosty Sołtyka, wojewoda kijowski one wsie przez zajazd zajął, a później za dekretem sejmowym zwrócić musiał *); teraz zaś syn jego żądał od starościny wdowy eksmisyi, w razie zaś oporu, groził, że nowym zajazdem prawa swoje popierać będzie.

Zda się, że płonne to były strachy. Jakoż sprawa sama przez się upadłaby, gdyby antagonistą był jakiś *prosty śmiertelnik*. Ale tu występował taki potentat, jak wówczas Potocki, posiadający milicyę, której trzykroć liczniejsza załoga, niż starościńska, oprzećby się mogła. Powtóre działo się to w trakcie

*) Z dawnych akt województwa braclawskiego.

zawiązania Konfederacyi Targowickiej, kiedy pan Szczęsny, jako jej marszałek, niemal całą władzę kraju miał w swoim ręku. Nie chodziło tu wprawdzie Potockiemu o zagarnięcie ziemi, albowiem sam jej tyle posiadał, że połowa odłogiem leżała. Lecz wydając pozwy rozmaite, chciał przez to zmusić szlachtę, aby do tej Konfederacyi przystępowała i kto tylko akces czynił, natychmiast mu sprawę umarzano nazawsze, a jeszcze z pańskiej szkatuły, bez wyroku sądowego, jeżeli żądał, dostał grzywny i nawiązkę. Toż i starościnnie, wydając pozwy, kazał podszeptać przez swych adherentów, iż jeżeli się zobowiąże solenną obietnicą, jako jej synowie akces do Konfederacyi uczynią, natychmiast sprawę umorzy.

Wiedziała o tem starościna, że szlachta stateczniejsza do tej Konfederacyi nie lgnęła i za synów zobowiązać się nie chciała. Lecz z drugiej strony tajem jej nie było, że groził jej zajazd, ruina majątku, a może śmierć dla niej i synowych; bowiem z taką przemocą żartów nie było.

Doradcą w ciężkich terminach i orędownikiem wdowy był jej krewny, pułkownik Temberski, dzielnego animuszu wojak, który i tem się wstawił, że czasu strasznej rzezi humańskiej, zamek białocerkiewski przed napadem hajdamaków dzielnie obronił — i niezawodnie on jeden na całej Ukrainie oparł się tej zjadłej tłuszczu. Chociaż wiekiem nieco przytłoczony, jednak jeszcze dziarski staruszek, pospieszył na

wezwanie krewnej. Skoro mu wynurzyła wdowa swoje ciężkie opaty, pytała:

— Jakże waszmość radzisz, panie bracie, azali mam uczynić deklarację za synów, że za powrotem, da Bóg szczęśliwie, z wojny, akces do tej tam Konfederacyi uczynią, lub...

— Niech Bóg zachowa, pani siestro! — przerwał rubaszenie stary wojak — raz kozie śmierć, jak to mówią; bo widzisz aśćka, uczyniwszy akces do tego paskudztwa, to śmierć cywilna dobrej sławy, a imienia. Co prawda zaś, wystąpić przeciwko tej sile, to śmierć zwyczajna ludzka. Ale że z tej drugiej trąba archanielska wskrzesi na Sąd Ostateczny, a z tamtej trzecie i dziesiąte się pokolenie nie podniesie, *ergo* wolę tę zwyczajną, niż oną konfederacką.. Ale czekaj jejmość, *nihil desperandum*, a nim co się obmyśli, pozwól mi objąć tu komendę...

— Ach, bracie dobrodzieju! — przerwała wdowa ze złożonemi rękoma, jak do modlitwy — prosiłam Boga, aby waszmości tą myślą natchnął i poddają się, a moja wdzięczność...

— Potem o tem, mościa dobrodziejko, a teraz niech mi tu zawołają starego Iwana, muszę z nim konferować.

Stawił się stary Iwan, a był to od półwieka prawie ataman starościńskich kozaków. Mimo siwizny, rzeźwy jeszcze i silny, a w zawiedłem obliczu i sumiastym wąsie przewijały się naprzemian determinacya i przebiegłość.

— Jak się miewasz, stary? — powitał go uprzejmie pan Temberski.

— *Sławyty Boha bad'ku pułkownyku* — odparł kozak z pokłonem głębokim, wszakże nie znamionującym służalstwa.

— Słyszałeś, że pan Potocki na nas się odgraża?

— *Czy to takich my z wamy baczyły, bad'ku* — rzekł kozak, pogardliwie machając ręką.

— Więc myślisz, że się obronimy?

— *Ce wże jak Boh daś* (to już jak Bóg da), ale za piec się nie schowamy.

— A iluż mógłbyś zebrać celnych strzelców?...

Kozak zamyślił się, spoglądał do góry, kręcił palcami.

— Będzie ze trzydziestu sześciu — odpowiedział.

— Hm, niewiele wprawdzie, ale jest już o co ręce zaczepić... Ano!... jakże myślisz stary, jak sobie poradzimy?

— Najprzód, *bad'ku*, dla bezpieczeństwa i spokoju, myślałbym, żeby *maty* starościna z *newistka-my*, ta i z całą babską czeredą wyjechały, bo to nie kobieca sprawa bitwa, a tu się na dobre zaniesie — prawil ataman.

— Toś się zbajał, synku!... — prawil pułkownik uśmiechnięty. — Dokądże pojedą, kiedy kraj cały, jak w ogniu, trapią go naprzemian wojska nieprzyjacielskie i nie lepsze od nich konfederackie? Zatem

skoro się podwiki na krok ruszą, zaraz ich jedni lub drudzy w jasyr pojماją. My im zaś konwoju dać nie możemy, bo sam powiedz, coż od szczupłej załogi oderwać?

— Prawda wasza, *bad'ku* — odparł pokornie ataman.

— To jedna prawda, synku, a ja ci powiem drugą: że polując nieraz ze starościcowemi i jej siostrami, przekonałem się, iż w razie czego nas starych przestrelają; białogłowy to są męskiego animuszu... A nie bez tego, żeby się tu coś nie zebrało szlachty ku obronie zamku, bo już wojna skończona i do domów wracają — ci zaś, bądź pewien, raźniej pójdą za tamtymi białymi głowami, niż za naszemi — zakończył Temberski żartobliwie, wskazując na siwe czupryny: swoją i kozaka.

— Niema co mówić, *bad'ku* — kiwał stary ataman skonwinkowaną głową.

— Czekaj-no, stary, pani starościna powierzyła mi tu komenđę, trzeba pomyśleć nam, żeby sprawy nie podrwić.

— *Koły pry was, bad'ku, to wże panu Potoćkomu bude ne z medom!* (kiedy przy was, ojczy, to panu Potockiemu będzie nie z miodem) — wyrzekł kozak, prostując się.

— Czekaj-no, synku, nie składajmy rąk, trzeba działać: pozew zapowiada egzekucję do dwóch niedziel, a więc w jedenaście dni mamy być na wszystko gotowi. Najprzód tedy zwołać tu groma-

dy ze wszystkich wiosek, powiadając, że dziedziczka prosi na poczęstne. Powiesz, komu należy, ażeby zabito parę wołów i kilkanaście baranów. Napiec chleba, palanic, *) knyszów, pierogów, ile piece pomieszczą. Klucze od piwnic weźmiesz do siebie... tylkoż, żeby się znów bardzo nie zapijali; wygoda aby była i częstunek suty, żeby się nie porozłazili; każesz sprowadzić wszystkie wiejskie muzyki, niech sobie potańcuja. Całą załogę zebrać mi zaraz do kurdygardy zamkowej, podmustrujemy ją trochę tymczasem...

— *Słysz bad'ku* — rzekł kozak już z subordynacją i miał odchodzić.

— Jeszcze nie wszystko. Poślesz mi zaraz kogoś sprawnego do p.p. Syszki i Rulikowskiego.

— Dacie zapiski, *bad'ku*...

— A nie... lepiej tak z językiem, bo zapiski mogą zgubić lub w razie napadu wytrzęsą im; niech tylko opowiedzą, co się tu święci, a poproszą w imieniu pani starościny, aby sami, i zebrawszy, co będzie można, szlachty i pewnych ludzi, tu się zbrojno stawili.

Nazajutrz od rana miasto się ożywiło: na obszernym rynku, pod ratuszem, obozowało parę tysięcy chłopów z całymi rodzinami, od rana do wieczora przygrywało im na przemiany kilka muzyk wiej-

*) „Palanica“ — placek żytni, na węglach pieczony.

skich, młodzież hasała. Traktament był suty, tak, iż o rozejściu się do domów niktby nie pomyślał.

Cichy dwór kalnobłocki był do niepoznania, tak teraz gwarnie i militarnie wyglądał. Na dziedzińcu zamkowym mustrowała się załoga pod okiem Temberskiego i atamana. Wyciągano i rychtowano moździerze i szmigownice, wszelką broń czyszczono — słowem niczego nie zaniedbano, co czynić na wojnę przystało. Mosty pozwodzono, bramy pozamykano, gęste patrole snuły się dokoła okopów, nikogo bez hasła nie wpuszczając. Kiedy młodź szlachecka, w liczbie kilkunastu, stawiała się na wezwanie zbrojno pod wieczór, sam pan Temberski wyszedł naprzeciw na rekonesans, aby ich na zamek wprowadzić.

Oddajmy sprawiedliwość bliźniątkom, iż będąc niemniej od wszystkich czynnymi, nie dały się nikomu wyprzedzić przywdziawszy męskie suknie, wszędzie stawały do pomocy, do wszystkiego białych a czynnych rączek przykładaly. Nietylko młodzi szlachcice, ale i prostaczkowie wielce sobie w nich upodobawszy, Urszulkę jednogłośnie wicekomendantem okrzyknęli.

Ażeby się nie dziwowano, że czasu wojny gorącej i popularnej tak dużo młodzi szlacheckiej znalazło się po za obozem — winniśmy wyjaśnić, iż działo się to już przeszło w miesiąc po opisanej bitwie, w której zginęli Grześ i starościc. Bitwa to była ostatnia, nie dlatego, aby wojnę rozstrzygała, ale, że

król odwołał wojska, oczyszczając w ten sposób pole działania dla Konfederacyi Targowickiej. Przybywający tedy na odsiecz staroście byli ochotnicy, którzy się na czas wojny zaciągnęli. Wiedzieli nawet o śmierci jej syna, lecz w tak przykrych alternatach, nikt z tą smutną wieścią nie spieszył.

Targowiczanie również nie zasypiali gruszek w popiele, zbroili się, wysyłali swoich na przespługi; atoli to im się nie powiodło, bo czujny Temberski zaraz pierwszej nocy pojmałszy trzech, zakradających się pod okopy, kazał na najwyższej bramie powiesić i tak do końca mieli pozostać; że zaś wszyscy trzech odziani byli w barwę milicyi Potockich, to już zaczepka była jawną i krwawą utarczkę zapowiadała.

Kiedy już szpiegi wzięły języka, że milicya targowicka o dni parę marszu zbliżyła się pod zamek, Temberski puścił się na taki fortel: kazał jawnie zaniechać podjazdów i placówek, a pilnować tylko niepostrzeżenie zdaleka ruchów nieprzyjacielskich; wiedząc zaś, że ich podjazdy, przepłoszone szubienicą, zdala się trzymają, kazał pozaprzągać karoce i landary zamkowe i opakować ładunkami, jak na dalszą drogę, a osadziwszy w nie dziewczki służebne pod konwojem, puścił cały tabor wciał ku Białocerkwi tak, ażeby przez podjazdy nieprzyjacielskie był widziany, ale żeby go pojmać nie mogli. Tymczasem wysłał z miasteczka zaufanego Żydka z chłopem, jako podróżnych, na wozie, taką drogą, aby się dali schwytać przez obóz Potockiego; wiedząc, iż spokojnym po-

dróżnym krzywdy nie wyrządzą, a co najwięcej konie zabiorą, które sakryfikował — ale zawsze indagować będą i oni to mieli potwierdzić wieść, o której rozszerzenie chodziło Temberskiemu, że starościna z całym dworem opuściła zamek, który też został rozbrojony, skoro się dowiedziano o przeważnej sile nieprzyjaciela.

W zamku nakazano ciszę absolutną, nikt we dnie na zewnątrz się nie śmiał ukazać. Cała załoga musiała poprzestawać na suchej strawie, ażeby dymiące kominy podstępnie nie zdradziły. Z nastaniem zmroku wcale nie zapalano świateł, za wyjątkiem paru komnat, które wcale okien nie miały. Strzelnice z moździerzami i szmigownicami osłonięto słomą, tak, iż zdawała próżnemi być się zdawały. Tak ową tajemnicę zręcznie ukartował pan Temberski, iż krom zachowanej w obszernych lochach załogi, nikt na zewnątrz nie wiedział o tym fortelu; nawet uczujące pod ratuszem gromady chłopków były przekonane o ucieczce państwa i zaraz opadli starego Iwana, jako zbliżonego do dworu, czyniąc mu gorzkie wyrzuty:

— Służyliśmy wiernie nieboszczykowi panu staroście przeszło lat dwadzieścia, a już dziesiąty rok jego wdowie, pani staroście i zatoż nas, starościńskich ludzi, chcecie oddać w pańskie poddaństwo? Wszyscy puciekali, a nas bronić niema komu!...

— Głupi jesteście!... a kto wam powiedział, że państwa niema w domu? — perswadował Iwan.

— Przecie widzieliśmy kiedy w nocy wyjeżdżali, i to wcał, z obawy, abyśmy ich nie zatrzymali. Uciekli przed swoimi wiernymi ludźmi, czy tak się godzi?

— Ej, głupi wy, głupi! nie znacie waszych panów i nie pojmujecie, co w tem jest; niechże dwóch z was pójdzie cichaczem ze mną i przekona się, że żywa dusza stamtąd się nie ruszyła i sam pan Temberski na miejscu, a podjazdami, coście widzieli, wyjechały służebne.

— Ano, wierzymy wam, Iwanie, — ozwała się zdziwiona i uspokojona gromada. — Ino powiedzcie, dlaczego to wysłali służebne pod konwojem, bo nam się to w głowach nie mieści.

— Właśnie w tem rzecz, żeby się obronić. Tych humańskich zabijaków co najmniej pięć razy więcej niż nas, liczbą przemogą, więc trzeba ich wziąć podstępem.

— A to jak? — pytali zaciekawieni.

— Oni tam już w obozie wiedzą o tej niby ucieczce panów i myślą sobie, że sami chłopci, bezbronni, opierać się daremnie nie będą, więc się też im poddamy...

— Poddamy się? — przerwali z oburzeniem.

— Niby to się poddamy — ciągnął Iwan — ażeby wpadli w samotrzask. Owóz jako to będzie: wystąpią, jak się w takich razach praktykuje, sami *didy, żinki, ta diwki* (dziady, kobiety i dziewczki) i będą prosili o pardon, wytoczą beczki z miodem, wód-

ką i piwem, a poproszą na poczęstne; młodyce i dziewczki będą się im przymilały, żartami broń im pozabierają, spoją całe to tałałajstwo. Stary Jakow, sotnik starościński, rzecz całą mądrze poprowadzi, a on szczwany lis...

— A potem co z tego będzie? — pytali zaciekawieni.

— Ja się ukryję na dzwonnicy i będę patrzył z góry... skoro zaś te hajdamaki dobrze podpiją, uderzę we dzwony, a wtedy wszystkie baby, padłszy do ziemi, odkryją wał, po za którym my będziemy ukryci ze strzelbą, damy ognia z moździerzy i szmigownic, a sprażym, co się zowie, tych wrażych synów... i znów, jak dotąd, pozostaniemy!... A teraz rozumiecie?

— Na zdrowie wam, atamanie! U was mądra głowa, jak u popa! — huknęła gromada, wznosząc czarki do góry.

— Tylkoż, żeby baby nie pokpiły, upijając się same — wtrącił Iwan.

— O, już nie obawiajcie się, my im dobrze nakiwamy, bo tu idzie o los!... — odpowiedziała gromada.

*

*

*

Nazajutrz o świcie mieszkańcy Kalnegoblota, dojrzawszy z dala, przez wzbite tumany kurzu, sil-

ny zastęp, naprzeciw nim dążący, wzięli się do przygotowań na przyjęcie gości: u bram miasta wytoczono beczki z gorzałką, piwem i miodem, przy których stanęło kilku starców z sotnikiem Jakowem na czele, trzymającym chleb i sól na białej płachcie. Otaczały ich wszystkie wiejskie młodyce i dziewczki, w odświętnych strojach.

Wiedzieć należy, iż pozycja była pagórkowata, tak, iż stojące na niej gromady zakrywały sobą wał i palisadę zamkową.

Dążący ku miastu napastnicy, dojrawszy z daleka u bram jego tłumy, sądząc je być odpornemi, sprawiwszy szyki w dwie zwarte kolumny, wyciągniętym marszem biegli do ataku. Tymczasem Jakow i starszyzna, stojąc spokojnie u bram przy pełnych beczkach, z rozwiniętymi białymi chorągwiami parlamentarzy, mieli czas przyjrzeć się napastniczej drużynie: była to zbieranina, złożona z przeróżnego motłochu, z którego, przed dwudziestoma przeszło laty, rekrutowała się rzeź humańska. Na czele szła mała tylko kupka szlachty, dowodząca milicyą Potockiego; odziana była w uniformy, miała chorągiew niebieską z półtrzecią żółtego krzyża i jako taka, militarnie wyglądała; przed nimi przodem szli surmacze i dobosze, przeraźliwą muzykę dobywając. Pierwsze tylko szeregi zbrojne były dobrze w strzelbę, ciągnęły też przy sobie parę szmigowic. Reszta uzbrojoną była po hajdamacku, w kosy, widły, cedy, spisy, lub kije z końca poopalane.

Z początku szli pędem, jakby do ataku, lecz skoro, zbliżając się, dopatrzyli nieodpornego i wcale pokojowego wzięcia się nieprzyjaciela, zwolnili kroku i podeszli spokojnie. Wtedy Jakow, podsuwając się z chlebem i solą, wystąpił z perorą:

— Panowie nas opuścili, młodzież się rozbiegła, my się bronić nie myślimy; nie chcemy już być starościńskimi i prosimy, żeby wasz pan przyjął nas w poddaństwo.

— Za zdrowie naszego nowego dziedzica, pana Potockiego! — zawołali starościńscy, wznosząc czarki do góry.

To poddanie się odrazu rozbroiło nieprzyjaciela, a tembardziej, iż miast przelewu krwi, lała się gorzalka, tak miła motłochowi. Zaraz z szarego końca broń porzucili, przystępując do dziewczuch i młodych, które im się mizdrzyły i wdzięcznie uśmiechały. Aż tu i skrzyпки skocznie zabrzękły, poszli w tan i do reszty zabaczyli sierdzistości bojowej. Cóż im więcej czynić pozostawało, kiedy zwycięstwo bez wystrzału otrzymali? Z początku usiłowali przezorni wodzowie powściągać tę ochotę, lecz się im hajdamaki oburknęli:

— To ichmościowie — powiadali — gdyby się trzeba było bić, pchalibyście nas naprzód, a teraz, kiedy można pohulać, to chcecie nas cofać... Nic z tego, bo choć zwycięstwo dostało się za darmo, przeto zawsze intencję wojowania mieliśmy!

Stary Jakow zachęcał do pijatyki, powtarzając:

— Raccie się chłopcy, pijcie, bo my już razem z wami do jednego pana należymy *a tylki mużyckoho, szo w czarci'* (tyle chłopskiego, co w kieliszku).

Dowcipniejsze mołodyce, wtajemniczone w zamiary starszyny, skrzętnie zabrały się do mołojców:

— Ano — rzeknie jedna, druga — wystrzelże mi, mój miły, na tę radość, bo już ci się ten nabój na nic nie przyda, kiedy się same poddajemy.

Inne, broń swoim adonisom poodbierawszy, w burzany pozarzucały. Około południa już większa połowa wojowniczej kupy nie trzymała się na nogach; wielu, na śmierć zapojonych, usnęło na ziemi.

Wtedy Jakow, obserwujący na dzwonnicy z przybranemi chłopiętami, uderzył ze wszystkich sił we dzwony, jak na gwałt. W oka mgnieniu, spełniając rozkaz, niewiasty przypadły twarzą do ziemi, starcy usunęli się na bok, a w tymże momencie załoga, ukryta w fosie, wyskoczyła na wierzch i rażno ogniem sypnęła; jednocześnie moździerze i szmigowice z zamku prażyć napastników zaczęły.

Trudno wyobrazić sobie ogólny popłoch; samo to przypadnięcie niewiast do ziemi, obudzało pewną panikę religijną; lud bowiem prosty ma we

zwyczaju rzucać się na ziemię przy biciu piorunów, więc tłuszcza uciekająca zaczęła lamentować:

— Bóg karze, żeśmy się chcieli targnąć na niewinnych własnych braci!

I jęli umykać co tchu, nie powstrzymały ich nawoływania starszyny, która ów fortel, zapóźno wprawdzie, spostrzegła. Lecz oni, widząc w tem wszystkim wyższą siłę i pomstę niebios, perswazyom nie dając ucha, odrazu plac boju oczyścili.

Nim załoga zamkowa na nowo broń nabiła, już działać przeciw komu nie było, na pobojowisku pozostało bowiem kilku silniej ranionych, niezdolnych do ucieczki.

Niewiasty wiejskie, rozumiejąc, że tryumf zwycięstwa im przynależny, powstawszy z ziemi, radośnemi krzykami napęłniły powietrze i, wracając w tryumfie do obronionego przez się miasta, hałaśną ucztę zwycięzców rozpoczęły.

Tak się zakończył ostatni zajazd na Ukrainie, a może i w Rzeczypospolitej!...

Orlikowie zarządzili polowaniem w ten sposób, że łoś wyszedł na porucznika i rozumie się, śmierć poniósł z jego ręki. Dalej zaś, czy to wyszło ze zmywy z bliźniatkami?... — ale tak się stało, że on jeden był bohaterem łowów, a krom niego, mało kto strzelał z powodzeniem. Dopiero staremu żal się zrobiło Orlików i pomyślał sobie:

— A któż to, krom nich, takie doskonałe łowy urządzi?

Chłopaki usposobiwszy w ten sposób porucznika dla siebie i wypatrzywszy moment, kiedy sam na sam z nim pozostali przy starszych bliźniatkach, rzucili mu się do nóg.

— Panie stryju, nie gubcie nas, miejcie litość nad nami! — rozpoczął Stach, śmielszej natury.

— Bóg z wami, moje chłopaki, o co wam idzie? — podnosząc ich, rzekł porucznik zdziwiony, a może i udający zdziwienie.

— Raczyliście przecie obiecać, panie stryju, że skoro spłacimy zastawników, dacie w małżeństwie mnie Urszulkę a Grzesiowi Hankę, tymczasem...

— Powoli chłopcy, pomówimy, jak na statecznych, a do tego ludzi jednej krwi przystało — przewał łagodnie porucznik, kładąc rękę na ramieniu Stacha. — Prawda wasza, moje chłopaki, iżem wam napomknął o tym projekcie, w nadziei, iż uda się wam spłacić zastawników, a widząc waszą pracę i usiłowania w tej mierze. Lecz, niestety, Bóg wam nie po-

Glinkowie.

szczęścił. Spłaciliście wprawdzie jednego, ale ten, niepocziw, wytoczył przeciw wam sprawę nainie-słuszniejszą w istocie, którą wszakże wygra, mając prawo za sobą i znów na całe wieki na zastawie za-siądzie, a inni toż samo uczynią...

— Przecie stryj sam widzi, iż my nie próżniaki, pracujemy, jak te woły w plugu! — przerwał Stach z goryczą.

— Alboż ja wam zarzucam?... Bogiem się świadczę, że nad wszelkie *alianse* na świecie, jako nie mający męskiego potomka, wolałbym dla córek nasz kleynot i godność szlachecką zachować. Gdybym tylko miał te dwie dziewczki, anibym się zawałał los ich w wasze pracowite ręce powierzyć; atoli mam ich sześć, a już niedługo mi na tym świecie, po mnie zaś niewiele zostanie, gdyż i ja także biedę klepię. Gdzież się reszta przygarnie, jeżeli starszych za ży-cia nie postanowię?... Żał mi was, chłopcy, iż mimo-woli stałem się dla was przyczyną zawodu miłosne-go, ale któż go tam z nas nie doznał za młodu?

— Wasze to dzieci i wasza wola — przerwał Stach opryskliwie, a wcale bez respektu, jaki star-szemu należał.

— Raczej powiedz, chłopaku, moje to dzieci i moja bieda, a gdy ci je Bóg da kiedy, sam się może przekonasz, iż ojciec często staje się niewolnikiem smutnych konieczności... Alboż i dla moich córek, które, wiadomo mi, że afekt wasz dzielają, azali

chciałbym być narzędziem przymusu? — wypowiedział porucznik rzewnym tonem, leż blizkim.

— Ot powiadają, że na frasunek dobry trunek — ciągnął dalej rubasznie — a ja, jako stary żołnierz, mówię wam, iż na serdeczne aprensye niemasz, jak wojenka, która się właśnie nadarza. Już widziałem w grodzie uniwersały, wkrótce i do nas nadejdą. Nie wątpię, iż żaden Glinka doma się nie osiedzi i nie zadamy fałszu waleczności rodowej kilkumastu już pokoleń. Odprawiwszy wesele i ja tam z naszymi nadciągnę... Ot wiecie co, chłopcy, ruszajcie przodem za dni parę do obozu, obeznacie się trochę z rzemiosłem, nim do czego przyjdzie. Macie swoich parę wierzchowców, wybierzcie sobie z moich dwa inne pod juki, i broń, jaka się wam spodoba, a czego tam jeszcze nie dostanie... A, da Bóg, szczęśliwie powrócicie, jest przecie jeszcze cztery Glinczanki... Tym zaś dwum nie psujcie losu, który im Bóg nadarza... Ano, chłopaki, czy tak dobrze?... Ino bez rankoru!

Zakończył z afektem, przyciskając młodych do serca. Grześ, rozrzewniony, ucałował rękę stryja ze łzami. Stach to uczynił szorstko, z widoczną niechęcią, jakby wyrzucał bratu ten przykład pokory — i odeszli.

Porucznik zaś, widząc Hankę, zachodzącą od serdecznego płaczu, przycisnął obie do piersi, prawiąc czule:

— Moje dzieci, wy przynajmniej dodajcie mi

odwagi bo mi setnie żal i was i tych chłopaków. Mam ci ja wprawdzie na sumieniu, że dał urosnąć waszemu zobopólnemu afektowi, ale same to zważcie, iż przy naszej biedzie losu takiego, jaki Bóg zdarza, odrzucić się nie godzi... Wasz ten smutek ofiarujcie Bogu i na intencję szczęścia młodszych sióstr.

— Będziemy wam posłuszne, panie ojciec i coście postanowili, to dla nas świętem, jakby od Boga — wypowiedziała Urszulka, rękę ojca do ust przyciskając.

Hanka, lubo srodze splakana, jednak poszła za siostry przykładem.

— Bóg też, jestem pewny, wysłucha moich górażących modłów i pobłogosławi was w tem i przyszłym życiu — zakończył porucznik, tuląc do ciepłego serca bliźnięta.

— Jeszcze słówko, moje dzieci — rzekł do odchodzących dziewcząt. — Nie narzucam wam mojej woli przez rozkaz rodzicielski, bo ufam waszemu rozumowi i stateczności; ale jeżeli, jak same osądziacie, stan rzeczy zmienić się nie może, radziłbym unikać spotkania z Orlikami... Dla czego bowiem rozjątrzać te rany, które dla wspólnego dobra i spokoju, co rychlej zabliznić wypada...

X

Od przytoczonej rozmowy porucznika z zakochanymi parami, zmieniła się postać rzeczy. Kiedy bliźnięta wyszły z tej łaźni argumentów rodzicielskich, Hanka, jako czulszej natury, nie mogła się utulić w płaczu.

— Moja siostryczko — wyjęczała przez łzy, tułac się do piersi Urszulki — ja nie przeżyję rozłąki z Grzesiem, ja umrę.

Na pięknym obliczu Urszulki, boleść zarysowała się po męsku, w marmurowej bladości i połysku oka. Niemniej ją może dojmował surowy wyrok ojca, ale zważywszy w dojrzałym umyśle jego sprawiedliwość, poddała się z męstwem i mocą hartowanego ducha.

Hanka dała się skłonić do mądrej rady siostry i nazajutrz obie ukłękły przed trybunałem pokuty Ojca Honorata. Ten mądry kapłan, nie nadużywający zazwyczaj władzy najwyższej, danej od Boga, umiał w mądrości swej, w jasnych i krótkich słowach, wielką prawdę objawiać. Atoli teraz każdą z sióstr zatrzymał dłużej przy konfesyonale, od którego

wprawdzie odeszły splakane, ale nie łzami cierpkiej rozpacz, tylko spokoju i chrześcijańskiej rezygnacji.

Porucznik czynnie się zawiął około wyprawienia Orlików. Osobiście doglądał wszystkich przygotowań, już to jako stary praktyk w tej mierze, a powtóre, jak nam wiadomo, miał inne powody do przyspieszenia odjazdu braci. Szło wszystko sporo: ry-marze dzień i noc pracowali około siodeł i juków; krawcy szyli kurty i sukmany. Dwa podjezdki juczne a przedniejsze wybrał ze swej stajni porucznik, sam broń białą ostrzył, palną zaś oczyścił i zlustrował. Dał każdemu po trzosie skórzanym z 20 obrączkowemi dukatami. Słowem wedle możliwości o niczem nie zapomniał, a wyprawiał, jak własnych synów. Mieli już za dwa dni wyruszyć, lecz porucznik, mając termin w grodzie, o dzień ich wyjazd uprzedził.

— Niech was Bóg prowadzi i błogosławi — rzekł na odjeźdnem, przytuliwszy ich szczerze do serca — do widzenia za parę tygodni w obozie... Radzę wam wyruszyć pod noc, bo powiadają, iż podjazdy nieprzyjacielskie kręcą się po okolicy, a było by niedorzeczy dać się złapać przed niewodem, jak śnięta ryba.

Przez cały tydzień przygotowań Orlików do wyprawy, bliźniątka ani razu nie zajrzały do zwalnego dęba. Bracia, żywiąc nadzieję spotkania, chodzili tam ustawicznie. Nareszcie, nie widząc dziew-

czą, zniecierpliwili się, szczególnie Stach czynił cierpkie wyrzuty za zaoczność.

— To już imćpanie starościcowe widocznie chcą dochować wiary swoim paniczynom... Ach, złąpię ja kiedyś tego eks-kudłatego, a nie będzie mu z miodem.

Urszulka, choć widocznie smutna i przygnębiona, jednak postanowiwszy sobie unikać spotkania, silnie wytrwała w przedsięwzięciu. Lecz Hanka żywsza, zawsze, niby nie chcąc, biegła w tę stronę, gdzie się spodziewała zetknąć z Grzesiem i bodaj krótkiem „dzień dobry“ go pozdrowić. Gdy zaś siostra jej perswadowała, odpowiadała, tonąc we łzach:

— Niech go choć raz jeszcze obaczę!

— Gdzie go obaczysz, siostrzyczko?!... Niemaczej tylko wówczas, kiedy z domu wyruszą; trudno nam iść do nich, stać się pośmiewiskiem całej wsi, dostać się na ludzkie języki.

— Moja droga Urszulko — nieśmiało wyszepiała Hanka — Grześ, którego spotkałam wypadkiem, idąc do krów, zaklinał mię na wszystko, żebysmy przyszły pod dęba, skoro u nas światła pogasną. I Stach biedny pragnie cię pożegnać po raz ostatni... Może już ich nigdy nie obaczymy, idą na wojnę — zakończyła, zanosząc się od płaczu.

— Moja siostrzyczko, bądź rozsądna i pamiętaj na ostatnią radę ojca, która dla córki winna być rozkazem; pewnie zaś i ksiądz stryj to samo ci powiedział na spowiedzi, co i mnie — przekładała Ur-

szula z powagą, ledwie mogąc ukryć żal, który i 'a srodze dojmował.

— Toć dotąd byłyśmy im posłuszne, lecz teraz pewna jestem, że ani ksiądz stryj nie bronilby nam przeżegnać świętym obrazkiem idących na wojnę!... — zmiękczała Hanka surowość siostry.

Serce nie kamień — niezłomna dotąd Urszulka dała się skusić lekkomyślnej siostrze.

Skoro we dworku światła pogasły, na małą godzinkę przed północą, bliźniętka lekliwie przekradały się pod dęba. Polanki tej nigdy nie widziały po nocy i kiedy tam stanęły, pełny księżyc, wychylający się z po za wierzchołków lasu, smutne, jakby stalowe, światło rzucał na całą tę przestrzeń. Aż zadrżały obie, doznając wrażenia, jakby wchodziły do świątyni, kirem żałobnym osłoniętej. Zdała, obok zwalonego dębu, dostrzegły niespokojnie przechadzających się Orlików, którzy naglądali pilnie w tę stronę, skąd siostry nadejść miały. Tuż o parę kroków cztery konie osiodłane uwiązane były do drzewa.

Rączym skokiem bliźniętka stanęły przy chłopcach. Wszakże nie zawiązała się odrazu ożywiona rozmowa, jakby się należało spodziewać, jeno zapanaowało przydłuższe milczenie, które zazwyczaj bywa wyrazem prawdziwego, głęboko uczutego smutku. Po pewnej chwili dopiero głośne łkanie Hanki przerwało ciszę:

— Ach! Grzesiu — wołała we łzach — ja tego

rozstania nie przeżyję... o jakież to straszne słowo „na zawsze!“...

— Skoro tak straszne, to lepiej się nie rozsta-
wać — wyrzekł Stach ponuro.

— Niestety Stachu, sam wiesz, że tak być nie
może — odparła Urszulka, tłumiąc ciężkie we-
stchnienie.

— Czemu nie może?... nic łatwiejszego — wy-
rzekł Stach stanowczo, ukazując zawiniątko, złożone
na dębie. — Tu są suknie męskie na was już gotowe,
wdziecież je tam, za krzakiem, konie czekają i...
w drogę!...

— Że też Stachu, w tak smutnym momencie
rozstania, niewczesne się ciebie żarty trzymają? —
wtrąciła Urszulka z wymówką.

— To nie żarty, a prawda, która się spełnić
musi.

— Nie rozumiem cię?

— Nie rozumiesz, że twój pan ojciec chciał nas
na dudków wystrychnąć, mieć z nas wszelką posłu-
gę, strzelców, dojeżdźaczy, za co pozwalał wam
szczerzeć do nas ząbki, zabawiać się w afekta, czyli
ukazywał nam gruszki na wierzbie, aż się zjawią ma-
gnaci, żeby nas z kwitkiem puścić! — wygrażając
ręką w powietrzu, prawil drwiąco Stach. — O, nie,
panie poruczniku, nic z tego, my tacy dobrzy Glin-
kowie, jak i waszmość, w kaszę sobie dmuchać nie
damy!...

— Bóg z tobą Stachu, czyliś podpiał sobie na

odjezdnem, lub zmysły postradał?... Bo już tego nie myślisz na seryo, abyśmy kryjomo opuszczały dom ojcowski?...

— Czekaj mościa panno — przerwał jej Stach, mieszając ironię z rozkazem — tak się stać musi. Wszakże od was samych będzie zależało, abyśmy nie użyli przemocy i wstyd wasz uszanowali!... Stąd o mil kilka znajdziemy księdza, który nam da ślub... następnie pan porucznik, robiący z gęby cholewę, da się przebłagać i wszystko pójdzie gładko... Imć panów zaś starościców odeślemy po konsolację po młodszych sióstr, jak ojciec nas, lub na cztery wiatry, jeżeli im się tak lepiej spodoba.

— Stachu, opamiętaj się!... — przerwała zatrwożona Urszulka.

— Urszulko moja jedyna!... — powiedział Stach, zmieniając nagle ton na sentymentalny — ja cię miłuję nad życie, które bez ciebie nic dla mnie nie waży; wydarłbym cię nie tylko z rąk starościca, ale samego szatana... Nie wahaj się dłużej, bądź moją, ja cię już stąd nie puszczę.

— Hanko... uchodźmy!... bo tu nas hańba czeka — zawołała Urszulka z trwogą, chwytając rękę siostry.

Stach im zastąpił drogę.

— Nie kuście się napróżno o ucieczkę, bo z tej nic nie będzie. Jam sobie poprzysiągł, że cię pochwycę, a skoro już będziesz moją, czyn ten oplacę miłością bez granic, odpokutuję u nóg twoich, moja jedyna!...

Urszulka, ściskając konwulsyjnie rękę siostry, coraz się usuwała.

— Oto wóz i przewóz — mówił Stach zimno, z determinacją — albo się przebierzecie w te suknie, co wam podróż wierzchem ułatwi... albo, w przeciwnym razie, to i tak pojedziecie z nami!... Jak mi Bóg miły, stąd was nie wypuszczę, bo człek raz w życiu trzyma szczęście w ręku!...

Zakończył z zapalem i chciał objąć w pól Urszulkę, lecz ta, jak rączka sarenka, wywinęła się, a pochwycawszy jeden z karabinków, opartych o dąb, odwiodła kurek i cofnąwszy się o parę kroków, na przeciw Stacha stanęła. Księżyc w tej chwili wysunął się na pełny firmament i zdawał się walczyć na próżno swoim światłem z blaskiem roziskrzonych gniewem oczu Urszulki.

— Ha! imć pani starościcowo — zaśmiał się szydyczko Stach — więc to były tylko zalecanki na zimno, a przekładasz swego dyamentowego starościca nade mnie chudopachołka? Teraz będziesz moją!... Jak Bóg na niebie, nie wypuszczę cię stąd!...

— Stachu, opamiętaj się! — perswadował Grześ, chwytając brata za rękę, lecz ten go tak gwałtownie odtrącił, iż Grześ potoczył się o kilka kroków.

— Siadajcie na koń i odjedźcie precz — komenderowała głośno Urszulka, jakby na czele wojska.

— „O mężna białogłowo Judyt wojująca“... —

zanucił szyderczo na ton Godzinek Stach. — Ale poczekaj, będziesz ty zaraz — „Abizail, mężnego Dawida grzejąca“... i ja zostanę tym szczęśliwym Dawidem.

Wymówiwszy to, przysuwał się do Urszulki, która zawsze, mierząc z karabinka, cofała się.

— Jeżeli jeszcze o krok się posuniesz, to przysięgam na Boga, że strzelę! — rzekła gromko i stanowczo.

— Czy w oko, jak tej dzikiej świni, która chciała spożyć twego najmilszego gagatka? — wtrącił Stach z rosnącym szyderstwem.

— Nie, w lewe ramię, aby cię nie czynić całkiem kaleką, a bądź pewny, że i przy księżycu nie chybię — wypowiedziała ze stanowczym spokojem.

— O moja śliczna gołąbko! jakże ci przystojnie z tym rycerskim animuszem! Dalibóg nie wytrzymam, a uściskam cię setnie.

Wypowiadał to Stach z zapalem, posuwając się ku Urszulce; lecz w miarę tego ona się cofała, a jedynym skokiem, oddaliwszy się o kilka kroków, nagle stanęła.

— Stachu! — zawołała stanowczym głosem — nie doprowadzaj mię do smutnej ostateczności, bo, jak Boga mojego pragnę, doliczywszy do trzech, wypalę...

— Cel, pal!... — przerwał Stach z szyderczym śmiechem, ciągle się posuwając.

— Raz, dwa... — liczyła dziewczyna cołając się i mierząc.

— Dość tej zabawki, bo do rana nie skończymy, a czas w drogę! — wyrzekł Stach, z determinacją przeskakując kilka kroków.

— Trzy!... — drżącym głosem zawołała Urszulka.

W tejże chwili padł strzał.

Stach rzucił się zapamiętale na Urszulkę, wołając z wściekłością:

— O przekłeta jaszczurko!...

Lecz w jednej chwili srogi ból przerwał mu groźby, które w jęk się zmieniły. Zachwiał się, potoczył, a Grześ chwycił brata w ramiona. Cała ta scena rozegrała się w dziesięćkroć mniejszym czasie niżli go zużyliśmy na opisanie. Zaraz po strzale, Urszulka, rzuciwszy broń, chwyciła rękę prawie nieprzytomnej siostry i ciągnąc ją za sobą, biegła co tchu ku domowi, dokąd wróciły równie niepostrzeżone.

Skoro przeminęły pierwsze, gorętsze trwogi, dręczyła je obawa, iż wszystko na jaw wyjdzie. Dopiero nad ranem uspokoiły się wieścią, rozsianą po wsi przez Grzesia — iż Stach, w drodze poprawiając na sobie nieostrożnie karabinek, przestrzelił sobie rękę. Że prawdopodobieństwo tej wersji zasługiwało na wiarę, nikt o tem nie wątpił, bo w istocie nie przypuszczali, aby ktoś czyhał na życie lub całość braci Orlików. Mieszkańcom zaś cichej wio-

ski nie pomieściłaby się w głowie podobnie sentymentalno-dramatyczna przygoda.

W ten sposób ostatnia schadzka bliźniątek z Orlikami była tajemnicą dla wszystkich. Znał ją zapewne jeden O. Honorat, przed którym dziewczęta nic nie miały tajnego i nazajutrz, gdy znów splekane odchodziły od jego konfesyonału, Urszulka powiadała do siostry:

— Dla Stacha czuję komizeracyę, jako dla bliźniego i szczerze żaluję, iż mię zmusił do tej ostateczności we własnej naszej obronie. Lecz niezawodnie wszelki inny afekt do niego straciłam na zawsze.

— Pewna jestem, że Grześ z własnego popędu nie dopuściłby się tego gwałtu, bo on pocziwszy — rzekła smutno Hanka.

I to było wspomnieniem niejako pośmiertnem niegdyś gorącego uczucia.

W parę dni, za powrotem do domu, zmatwił się porucznik smutną przygodą Orlików. O ile mu czas gorący przygotowań weselnych dozwalał, sam troskliwie doglądał chorego.

XI

Minęło kilka tygodni i termin podwójnych zaślubin się zbliżał. Na parę dni przed solennym terminem, ściągnęli starościcowie z matką i licznym dworem, tak, iż szczupły domek porucznika, po uprzątnieniu lamiusów, stodół, spichrzów i wszystkiego, co było pod strzechą, zaledwie licznych gości mógł pomieścić jako tako — nie mówiąc już o wygodzie, o którą dawniejsi ludzie mniej dbali.

Przez ten czas Stach Orlik znacznie już wydobrzył; chociaż rana była głęboka, jednak, że kula nie naruszyła arteryj i stawów, po wyjęciu jej przez prostego cyrulika, młodość i twarda natura pacjenta reszty dokonały. Władza tylko w rękę wracała powoli i chociaż ruchy pewne mógł nią wykonywać, jednak nosił ją jeszcze na temblaku. Czego wszakże chory nie mógł odzyskać, był to spokój i swoboda umysłu; ciągle był ponury i zamyślony, a jeżeli brat, przez zabiegi i starania gorliwe, zdołał zeń słówko wyciągnąć, takowe było narzekaniem i przekleństwem.

— Przyznaj sam bracie — perswadował mu Grześ — iż podrwiliśmy sprawę, było to bowiem do przewidzenia, że dziewczęta dobrowolnie się nie zgodzą iść z nami, sam cię o tem uprzedzałem. Za wielkie to wymaganie, aby gwałtownie opuszczały dom ojca, ściągnęły na siebie jego przekleństwo, przyniosły hańbę imieniowi, szkodę młodszym siostrom: to jakoś ani po Bożemu, ani po ludzku.

— Baba z ciebie! — odburknął opryskliwie Stach. — Ja muszę dostać tej podwiki, którą, o ile wprzód miłowałem, tyle teraz nienawidzę, muszę ją sponiewierać, musi być jawnie moją kochanką... Cóż to za hańba dla szlachcica, idącego na pierwszą wyprawę, otrzymać ranę z rąk babskich; tego jej póki żyw nie przebaczę, muszę pomścić!

— Najprzód bracie, mogłeś się przekonać z mowy odwiedzających cię, iż żywa dusza nie zna prawdziwego powodu tej rany — uspakajał Grześ.

— Co mi tam czy kto wie! — przerwał z oburzeniem Stach — dość, że ja wiem i hańby tej nie przełknę, a muszę ją wyplwać w zemście na niej i na tym jej pudlu narzeczonym!

— W czemże ona przed tobą zawiniła? Chyba, że była posłuszną woli ojca i nie shańbiła się ucieczką? — Ja sambym w ostatecznym razie sprzeciwił się temu, gdyby na gwałt się zaniósło, lecz wszystko spełniło się obcesowo, nim zdołałem słowo wtrącić.

— Ciemięga jesteś! — przerwał Stach, zapa-

XV

Podczas całej wyprawy, starościcowe były najmniejszymi żołnierzami. Po ucieczce nieprzyjaciela, kiedy wszyscy oddawali się radośnemu tryumfowi lub topili w czaszy sławę wojenną, obie młode niewiasty, litośnem uchem chrwytając jęki rannych, których nikt zdawał się nie słyszeć, pośpieszyły z rątkiem na miejsce pobojuwiska, gdzie kilku rannych się znajdowało: jeden z nich, w mundurze oficerskim, leżał spokojnie na płaszczu z przymkniętymi oczyma, nie wydając najmniejszego jęku. Starościcowe do niego wprzód przybiegły. Na szmer ich kroków, leżący zerwał się na równe nogi, one zaś odskoczyły z trwogą... poznając w nim Stacha Orlika.

Ażeby nas nie posądzono, o fortel powieściopisarski, iż dla wywołania silniejszego wrażenia, wprowadziliśmy tu Stacha z przeciwnego obozu, jako *Deus ex machina* musimy zwrócić się do czasu, kiedyśmy go widzieli po bitwie pod Dubienką, grzebiącego zwłoki brata i następnie dźwigającego, a raczej rzucającego, ranionego starościca.

Po dopełnieniu tych czynności, znikł odrazu z obozu i w świat poszedł — nie do wsi rodzinnej, bo tam nie miał co robić, nic go już nie przywabiało — ale puścił się tam, dokąd go pociągały dwa, nie licujące ze sobą, uczucia: miłość szalona i pragnienie krwawej zemsty — wędrował ku Zwinogródka.

Nim dotarł do Ukrainy, tam już na dobre rozkwitła świeżo zawiązana Konfederacya Targowicka; wiadomo, że adherenci jej szlachtę niechętną do akcesu godziwemi i niegodziwemi, politycznemi i niepolitycznemi środkami ściągali, jak to mieliśmy przykład na opisanym zajeździe. Z prostymi ludźmi mniej wykwinionych używano tentacyi: trafiano w próżność ambitnych obietnicą karyery i krescytywy — chciwych obietnicą dzierżaw, zastawów etc., a nawet poprostu grosza, ofiarowanego ciepłą ręką. Zdarzało się i to, że upojonym trunkiem podsuwano akces do podpisu — niczego się bowiem nie sromali owi konfederaci. Atoli Stach był obojętny na wszelkie zyski, partye, a nawet na dobro kraju, wiło mu się wciąż bowiem po zapalanej głowie:

„Ją odszukać!... pomścić się jej wzgardy i wiarołomstwa!...“

Albo i czasem znowu mawiał sobie z rozradowaniem sercem:

— Kto wie, co się stać może?... Wszak ona teraz wdową!

Szedł pieszo, bo konie potracił w bitwach, ale

przeto pośpieszał i nie czuł zmęczenia, bo myśli i żądze jakby mu skrzydeł dodawały. Po długiej i nużącej podróży stanął w Tulczynie, gdzie jako w rezydencyi generalnego marszałka, silniej się Konfederacya agitowała. Tam znów go opadnięto wszelaką zachętą i obietnicami, lecz zawsze był głuchym na wszystkie pokusy.

Wszakże, skoro się Orlik dowiedział o zamierzonym zajeździe na Sołtyków, uczynił akces do Konfederacyi, pod warunkiem, że przyjmie czynny udział w tej wyprawie. Nie wahano się akceptować kondycyi, tembardziej, iż szlachta, składająca oną Konfederacyę nieszczęsną, po większej części *volens nolens* z biedy i przymusu, sromotała się tej wyprawy, jako niesprawiedliwej, dybiącej na krew bratnią w widokach buty i obłędu magnackiego. Nietylko więc Orlika chętnie przyjęli, ale, że krom niego znajdowało się wielu przerzutników z tamtego obozu, świadomych jego nieustraszonej odwagi i dzielności, zatem powierzono mu komendę nad motłochem, do objęcia której, co prawda, niewiele było statecznych i poważnych ochotników. Tyle jest wyjaśnienia, co dotyczy udziału Stacha Orlika w tej wyprawie, której fatalny skutek dopiero widzieliśmy.

Skoro tłuszcza pijana go odbiegła, a przekonał się, iż stał się ofiarą dość naiwnego podstępny i że znów, jak niegdyś, zwalczyły go podwici, zakipiał strasznym gniewem, widząc zawiedzionych tyle trudów i zabiegów dla spotkania Urszulki. Na widok

zamku, który mu się szyderczo naigrawał, zacisnął pięście, zazgrzytał zębami. Zdobywał na nowo to rozpaczliwe przekonanie, iż próżnym jest gniew bezsilnego. Rzuciwszy się na rozciągnięty płaszcz na ziemi, mówił sobie w duchu:

— Tu pozostanę nazawsze, dopóki jej się nie doczekam.

Lub może prawdopodobniej nic sobie nie powiedział, jako człowiek, stojący się igraszką i pośmiewiskiem fatalnego losu...

Siostry, na widok Stacha wynędzniałego, o surowej twarzy i gniewnem wejrzeniu, przez chwilę odrętwiały ze strachu na miejscu, a potem nagle zwróciły się do ucieczki.

— Poczekajcie, pomówimy trochę, jak starzy przyjaciele!... — szyderczo ozwał się Orlik, zabiegając drogę Urszuli. — Wielkim zaprawdę trudem zdobyłem ten pożądaný moment rozmowy, abym go się tak łatwo zrzekał!... Tyle na to przebiegłem kraju, nie sromałem się objąć komendy nad hajdamackim motłochem, który zwalczyliście, wprawdzie podstępem, należy mi za to jednak łaskawe słówko.

Siostry, zmuszone do pozostania, milczały strwożone. Hanka mimowoli wdał się zapatrzyła, zapewne szukając Grzesia, który jako mniej gwałtowny, niezawodnie pośpieszyłby im na pomoc.

Orlik, dostrzegłszy to badawcze spojrzenie, ozwał się smutnie i ponuro:

— Nie szukaj daremnie Grzesia, bo już go nie ma na ziemi, zabiłyście go waszą zdradą... Szukał biedak śmierci desperackiej na wojnie, laził na nią, jak ćma do światła i nakoniec znalazł.

Hanka pobladła, łzy się jej zakręciły w oczach.

— Ponieważ, jako bliźnięta, dzielicie ze sobą wszelki sentyment — mówił Orlik z szyderstwem do Urszulki — więc abyś i ty miała czego się smucić, toć powiem, żeś jest wdową: ukochany twój małżonek poległ w tej samej bitwie, co i Grześ.

— Kłamiesz! — zawołała Urszula błędąc.

— Przysięgnę, jeżeli tego żądasz, lecz czyliż ty wierzysz przysięgom, sama je łamiąc?

— Powiedziałeś swoje, ubodłeś mię w serce, już musisz być zadowolony, więc żegnam — rzekła zimno Urszulka, gotując się do odejścia.

— O nie!... za długo czekałem na te gody spotkania z tobą, abym je tak rychło pozbył — wypowiedział z determinacją Stach, zabiegając jej powórnym drogę.

— Pobiegnę zawołać pomocy! — zdołała szepnąć Hanka do siostry, podczas kiedy Stach wykrzykiwał i pędem puściła się ku zamkowi.

Skoro odbiegła dalej, Orlik, rozstawiając ręce, bardziej się zbliżał do Urszuli, lecz, że ta dotąd miała strój męski na sobie i strzelbę, przewieszoną przez ramię, odskoczywszy parę kroków, w oka mgnieniu odwiodła kurek i zmierzyła.

— Azali ma się powtórzyć scena z polanki, kiedyś mię zraniła — rozpoczął z urąganiem, lecz nagle, zmieniając ton na błagalny i pokorny, mówił ze złożonemi rękoma: — Posłuchaj mnie moja miła, moja jedyna!... Ja ci tamto wybaczam... Puszczam w zapomnienie, niecham na zawsze zemsty, która mię tu przywiodła... Nie mam już do ciebie żalu za przeszłe, boś tam stawała w obronie panieńskiego wstydu, nie chciałaś iść wbrew woli ojca... dziś jesteś wolną, od siebie zależysz, a ja bez ciebie żyć nie mogę... Twój widok mię rozbroił, widzisz, iż cię miłuję do szaleństwa, dlaczegóż mną pogardzasz, czemu odrzucasz afekt człowieka, który bez ciebie żyć nie może, dla twojego szczęścia gotów wszystko poświęcić?... Patrz!... ja klęczę przed tobą, jak przed Bogiem, i przysięgam!...

— I ja przysięgam na Boga i wszystko najświętsze, iż gdybym nawet była wolną, jak powiadasz, nigdy twoją nie będę!... — wymówiła stanowczo.

— Tak?... wiarołomna!... Zasmakowały ci bogactwa i życie zbytkowne, których daćbym ci nie mógł!... Tyś podła, nie masz serca, nie wyżyjesz samą miłością...

W tej chwili wysypała się z zamku zbrojna załoga, z krzykiem zbiegając z góry.

— Ha! więc to tak?... odsiecz przeciwko mnie. Może myślisz, iż dam cię wydrzeć sobie żywą?...

Po raz ostatni pytam, chcesz być moją? — ryczał już Orlik, zapieniony ze złości, wznosząc rusznicę do góry.

— Nie, nigdy! — odparła z mocą Urszula.

— Więc niczyją nie będziesz!... — wykrzyknął wściekle.

W jednej chwili padł strzał i ugodzona w samo serce Urszulka, wydając jęk ostatni, padła na ziemię. Drugi jęk taki dał się słyszeć na górze, a Hanka, chwytając się za serce, jęknęła:

— Ach, Urszulka! — i w jednej chwili z siostrą skoła.

Zwycięskiej załodze pozostawała już tylko zemsta nad Orlikiem. Długo się nad nim pastwiono, zanim w srogich męczarniach twarą jego duszę wydarto. Nakoniec rozćwiartowane jego ciało, jako ofiarę dla srogiej Nemezys, rozwieszono na kilku szubienicach.

P. S. Staruszek, ze słów którego powyższą relację spisałem, powiadał, iż na opuszczonym niegdy unickim cmentarzu w Kalnychbłotach oglądał na dwóch połączonych kamieniach napis w połowie ła-

ciński i polski, opiewający jednoczesną tragiczną śmierć bliźniątek. Z napisu, acz znacznie zatartego, wyczytał tylko dwa ostatnie wiersze, które tu dosłownie powtarzam:

„Tak sióstr, którym los znaczył konjunktury bliźnie,
Śmierć sroga nie rozdziela w niebieskiej Ojczyźnie“.

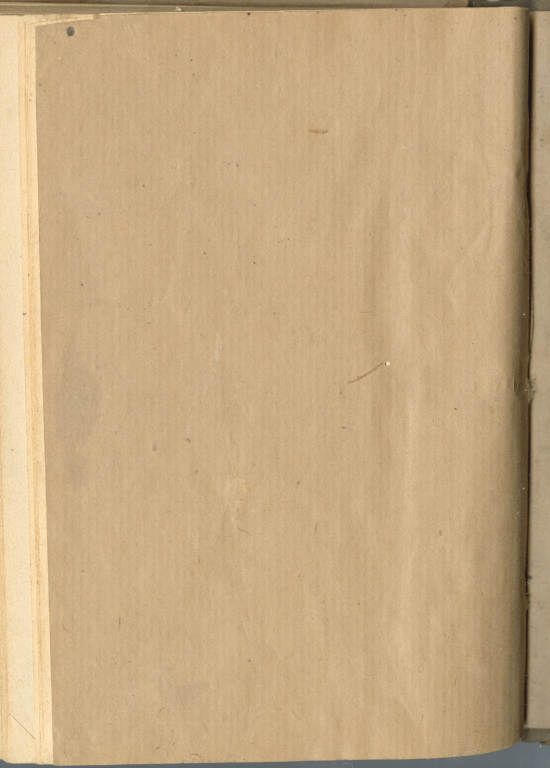
K O N I E C .



28703







20. +

30.0

